WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 49 (427) 6 grudnia 1969 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wiesław Kulikowski

Leningradzkie spotkanie

Z wizytą u autora „Niespokojnej starości"

Z Leonidem Rachmanowem spotkałem się w jego prywatnym mieszkaniu przy słynnym Marsowym Polu w Leningradzie. Idąc do niego sądziłem, że spotkam człowieka w podeszłym już wieku, takiego, jakim istniał w mojej wyobraźni bohater „Niespokojnej starości" — Poleżajew. Tymczasem drzwi otworzył krzepki, dość młodo jeszcze wyglądający, ciemnowłosy mężczyzna, o energicznych ruchach i młodzieńczym wprost usposobieniu. W jego spojrzeniu widniała ujmująca serdeczność i wesołość.

Na początku rozmowy z gościnnym gospodarzem zwierzyłem się ze swojego zaskoczenia. No tak — powiedział śmiejąc się pisarz — zwykle tak bywa, że ci, którzy mnie nie znają, a zetknęli się z moją „Niespokojną starością", wyobrażają mnie jako staruszka, z długą brodą. A ja tymczasem nie jestem jeszcze takim staruszkiem. Ale muszę Wam powiedzieć, że kończę właśnie sześćdziesiątkę. A wtedy kiedy napisałem „Niespokojną starość" miałem lat dwadzieścia osiem. Trochę wcześniej napisałem scenariusz do filmu „Dieputat Bałtikie" — właśnie o profesorze Poleżajewie. To stary, zapomniany już film.

— Czy w jakimś stopniu można utożsamiać „Niespokojną starość" z Pana niespokojną młodością?

— Na pewno tak. Czasy mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, to czasy wielkich, porewolucyjnych przemian. To bardzo rozległy temat do rozmów. Okazuje się, że wiadomość o wystawieniu przez Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie „Niespokojnej starości" można traktować, jako szczególny podarek dla pisarza. Właśnie szterdzieści lat temu wyszła pierwsza powieść Rachmanowa pt. „Plemienny bóg". A więc: podwójny jubileusz. Leonid Rachmanow jest zadowolony z tego „podarku", pragnąłbym wyrazić polskim przyjaciołom, a przede wszystkim Jerzemu Pleśniarowiczowi i aktorom swoje podziękowanie.

Mówiąc jednak szczerze — powiada pisarz — to dotychczas prawie nic nie wiedziałem o Waszym mieście Rzeszowie. Przed Waszą wizytą przeczytałem o nim wzmiankę w encyklopedii. Teraz pragnąłbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej, jestem zobowiązany. A swoją drogą, to nie zawsze wiem, kiedy i które teatry wystawiają moje sztuki. Oto np. dowiaduję się z dzisiejszej gazety leningradzkiej, że wczoraj jeden z teatrów moskiewskich wystawił moją „Niespokojną starość" w Leningradzie. Ale może to i lepiej, że nie byłem na niej. Autor często jest zakłopotany w takich okolicznościach. Siedzimy w pokoju, w którym znajdzie się bogata biblioteka pisarza, a na ścianach dużo ulubionych przez niego obrazów. Jeden z nich przedstawia podobiznę przyjaciela, którego sztuki znane są również i w Polsce — Szwarca. Na biurku maszyna do pisania, poprawiony

(Ciąg dalszy na str. 2)

Дорогие товарищи!
Очень рад приветствовать вас
в день премьеры „Беспокойной
старости". Желаю успеха.
Рахманов
15 ноября 1969 г.
Ленинград

Pozdrowienia przesłane dla naszych czytelników przez L. Rachmanowa.

Iwan Dracz

Kalina

Spijam sok gęsty z cierpkich mroźnych gron,
Spijam sok parnych październikowych rozkoszy,
Spijam szeleszczący listopad,
Spijam złotą oskomę jesieni.
Śmietanę ognistą spijam aż do zachłyśnięcia —
Spijam gorycz miłowanych ust,
Spijam macierzyński dziki trunek.
Chrzęści mój smutek.
Słodzi się mój smak.
Biegnę do niej przez staje lat.
Moja ręka gorąca i niespokojna
Dotyka
Jej chłodnych płomienistych piersi,
A ona mnie bije po sercu
I dumnie kibić błękitną odchyla,
Arystokratka o spękanej korze,
Bo nogi moje w modnych półbucikach
Swego śladu bosego nie mogą odnaleźć.

Przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

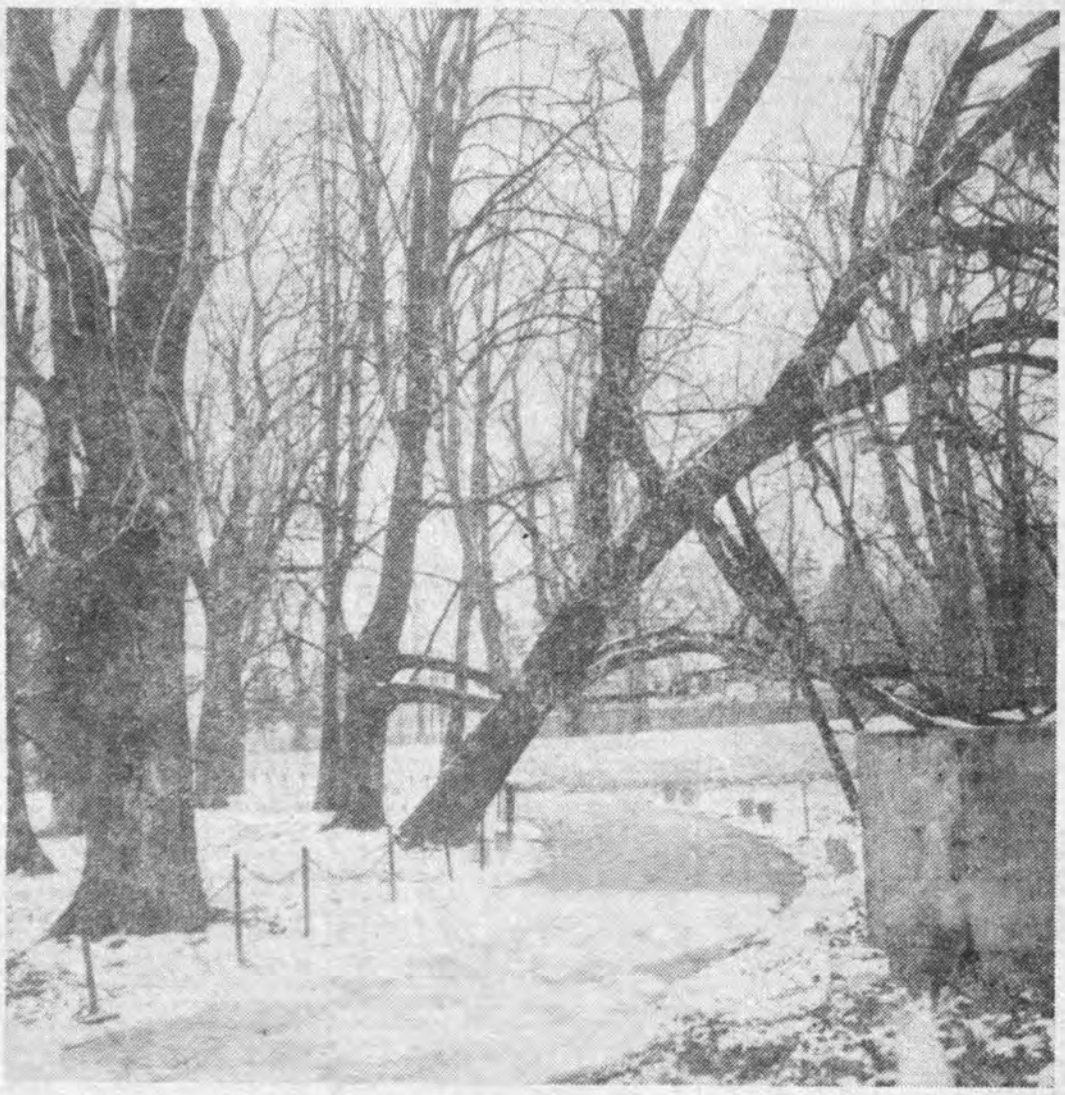

Fot. M. KOPEĆ

Po sympozjum... i co dalej?

Sympozjum poświęcone pisarzom i pamiętnikarzom ludowym Rzeszowszczyzny było imprezą cenną, twórczą, wytyczającą kierunki dalszego konkretnego działania. Zgodnie to podkreślali w dyskusji jej uczestnicy.

Referaty sympozjum bogate w materiał poznawczy ukazały w kilku aspektach rolę społeczną i funkcję w naszym społeczeństwie nurtu ludowego pisarstwa. Doc. dr Bronisław Gołębiowski ukazał z punktu widzenia socjologii kultury wartość naukową chłopskiego ruchu pamiętnikarskiego, jako obrazu przemian kulturowych i społecznych wsi polskiej w naszym ustroju. Prezes Ludowej Spółdzielni Wydawniczej red. Mieczysław Grad mówił o miejscu chłopskiego samorodnego pisarstwa w literaturze naszego kraju, o współtworzeniu przez niego ogólnonarodowego życia artystycznego. W referacie mgr Aleksandra Zygi słuchacze otrzymali szczegółowy bilans nowszej literackiej twórczości ludowej regionu rzeszowskiego, a mgr Anna Niewolak-Krzywda dokonała próby oceny artystycznej twórczości jednego z najwybitniejszych ludowych pisarzy rzeszowskich Romana Turka.

Roman Turek z żoną w czasie sympozjum.

Ale przecież nie chodziło tylko o przekazanie słuchaczom imprezy pewnej sumy wiedzy na temat ludowego pisarstwa. Chcielibyśmy wysunąć także pewne konkretne propozycje do dalszej współpracy z twórcami ludowymi i form popularyzacji ich dorobku. Propozycje takie padły zarówno w referatach, jak i w dyskusji.

Zwrócono przede wszystkim uwagę na społeczną wagę współpracy i sojuszu młodych twórców z rzeszowskiego KKMP z pisarzami chłopskimi i potrzeby upowszechnienia inicjatywy w tej dziedzinie na wszystkie krajowe ośrodki Klubu. Tu duże zasługi położył prezes KKMP w Rzeszowie Tadeusz Kubas, gdyż dzięki jego zaangażowaniu Klub dużo wcześniej zaczął współpracować z twórcami ludowymi, on także był jednym z głównych inicjatorów i organizatorów sympozjum. Niewątpliwie to udane spotkanie będzie silnym bodźcem do rozwijania i udoskonalania tych kontaktów. Zasługuje również na szybką realizację propozycja, by utworzyć w Rzeszowie oddział wojewódzki Stowarzyszenia Twórców Ludowych. To pozwoli stworzyć płaszczyznę wymiany doświadczeń i poglądów między twórcami, krytycznej analizy ich dorobku oraz pomocy ze strony znawców i specjalistów tego rodzaju twórczości. Warto, by Wydział Kultury Prez.WRN rozważył tę możliwość i przystąpił do organizowania oddziału. Wysunięto również wniosek, by opracować antologię rzeszowskiej twórczości samorodnych pisarzy dla potrzeb młodzieży szkolnej i amatorskich zespołów artystycznych. Ta bogata twórczość jest za mało popularyzowana — wszystkie zresztą nieliczne nakłady wierszy i prozy ludowej są zupełnie wyczerpane, a wiadomo przecież, że problemy twórczego regionalizmu zajmują sporo miejsca w programach szkolnych. Może pomyśli o tym Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk? Jak wynikało z dyskusji w czasie sympozjum, istnieje na ogół sprzyjająca atmosfera dla wszystkich sensownych i przemyślanych inicjatyw wydawniczych z dziedziny twórczości ludowej, a wydawcy nawet przyrzekają odrobienie zaniedbań poprzednich. Warto i trzeba to wykorzystać.

Także „Widnokrąg" w miarę swych skromnych możliwości będzie się starał częściej publikować lub gruntowniej omawiać twórczość chłopskich pisarzy i twórców. Czyniliśmy to dotąd niejednokrotnie, zdając sobie równocześnie sprawę z tego, że nie wystarcza to dla zaspokojenia społecznych potrzeb. Przystąpiliśmy więc do udziału w organizowaniu sympozjum, by w rozmowie z twórcami ludowymi znaleźć możliwości niesienia im skuteczniejszej pomocy oraz zwrócić uwagę władz, instytucji kulturalnych i społecznych na wartości, które reprezentuje ruch współczesnego pamiętnikarstwa i pisarstwa chłopskiego dla tworzenia autentycznych wartości naszej kultury narodowej. Wyciągniemy z sympozjum właściwe wnioski. Jesteśmy głęboko przekonani o potrzebie i możliwości zrealizowania wszystkich słusznych postulatów tej pięknej imprezy.

JAN GRYGIEL

WALENTY KUNYSZ

Bronisław Gołębiowski

Przemiany w świetle

(skrót)

Chciałbym skoncentrować się tylko na niektórych głównych procesach przemian społeczno-kulturalnych, które zostały mocniej wydobyte na światło dzienne przez pamiętniki, jako materiał dokumentalny.

Jeżeli przedwojenne pamiętnikarstwo chłopskie i młodzieży chłopskiej prezentowało przede wszystkim kształtowanie się warstwy chłopskiej i jej usamodzielnianie się w stosunku do innych wielkich klas społecznych, a jednocześnie proces unarodowiania się tej warstwy, czyli zdobywanie przez nią świadomości społecznej i narodowej, to pamiętniki współczesne pokazują przede wszystkim proces pełnego niejako zadomowienia się (używam sformułowania prof. Chałasińskiego) mas ludowych w kulturze narodowej i jednocześnie pełnego unarodowiania, zdobycia pełnej świadomości narodowej przez te masy. Pokazują więc one przede wszystkim ten proces, który nazwalibyśmy przekształceniem struktury społecznej narodu poprzez przekształcenie tego narodu w naród robotniczo-chłopski. Przekształcenie to, dzięki pamiętnikom, widzimy poprzez pryzmat przeobrażeń się konkretnych ludzi ze wsi, członków warstwy chłopskiej (czy, jeżeli inaczej zdefiniujemy: klasy chłopskiej), w toku ich przechodzenia do klasy robotniczej i do szerokiej warstwy inteligencji oraz pracowników umysłowych w Polsce Ludowej. Ten proces jest oparty o szerszy proces socjalistycznej industrializacji i systematycznego zmniejszania się liczby ludności wiejskiej w ogólnej strukturze ludnościowej Polski na rzecz ludności miejskiej. Konflikty wieś — miasto, sprzeczność między tymi dwoma środowiskami, tak charakterystyczna dla Polski przedwojennej i w ogóle dla całej historii powstawania wsi i miast w Polsce, jest stopniowo w różnych aspektach przezwyciężana. I to przezwyciężanie jest najszerszym procesem przemian ukazywanych w pamiętnikach.

Referat dr Bronisława Gołębiowskiego pt. „Przemiany społeczno-kulturalne" został wygłoszony na sympozjum poświęconym twórczości pisarzy ludowych.

Sądzę, że powstawanie przemysłu pośród pól i powstawanie klasy robotniczej z warstw chłopskich jest jednym ze źródeł potrzeby pisania pamiętników. Przechodzenie z jednej klasy społecznej do drugiej jest zawsze procesem trudnym, skomplikowanym, szczególnie, jeśli ten proces odbywa się po długich niewolniczo-parobczańskich doświadczeniach historycznych danej klasy i jeżeli pociąga za sobą właściwie konieczność pozostawienia nie tylko własnego środowiska, ale pewnej wytworzonej w tym środowisku kultury, obyczajowości, tradycji i zmiany jej na zupełnie nową tradycję i nowy styl życia.

W bardzo wielu pamiętnikach, ten proces, który najtrafniej można nazwać procesem awansu społeczno-kulturalnego, jest właściwą osnową i głównym akcentem ideowym. Że ten proces wiąże się z generalnymi ideałami, które przyświecają przobrażeniom społeczno-politycznym, ekonomiczno - społecznym, ustrojowym, że jest on wynikiem walki określonych sił politycznych, partii klasy robotniczej, wokół nich skupionych innych partii szerokiego frontu demokratycznego — o tym chyba tu rozprawiać nie trzeba.

W tym ogólnym procesie jest kilka zjawisk, które wymagałyby krótkiego omówienia. Bardzo interesująco pokazany jest w pamiętnikach moment przekształceń środowiska wiejskiego i ludzi z tego środowiska, którzy wychodzili do innych środowisk, jako proces, który ma charakter społeczno - kulturowy i którego istota po raz pierwszy w dziejach naszego społeczeństwa nosi charakter nieantagonistyczny, ponieważ jest on kierowany przez określone siły społeczne, dążące do zbudowania społeczeństwa bezklasowe-

Leningradzkie spotkanie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

maszynopis ostatnio pisanej sztuki, do ukończenia której pozostał jeszcze jeden akt. Rosyjski, oryginalny tytuł sztuki, dość trudny do przetłumaczenia na język polski brzmi: „Czjot-nieczjet" (o NEP-ie). Na biurku we flakonie zieleni się mała gałązka sośniny z maleńkimi szyszkami. Doznaję dziwnego wrażenia. Gawędząc z autorem „Niespokojnej starości" zdaje mi się, że biorę udział w osobliwej wersji sztuki. Właśnie ten jubileusz, o którym autor nic nie mówi, a który wynika z podanych mi dat kojarzy mi się z jubileuszem Poleżajewem. Jakże inne są okoliczności tych jubileuszy. Pragnąłbym powiedzieć kilka serdecznych słów. Nie chcę być jednak w roli schlebiającego Boczarowa. Proszę autora o to, aby odpowiedział na pytanie: jak powstała postać Poleżajewa?

— Powstanie tej powieści należy wiązać z moim inteligenckim pochodzeniem. Mój ojciec był inżynierem. Problem inteligencji był w tamtych czasach bardzo istotny. Bohaterami moich dramatów, scenariuszy filmowych i powieści są najczęściej ludzie nauki. Na podstawie mojego scenariusza został zrealizowany na przykład znany film „Michał Łomonosow". Napisałem również swojego czasu sztukę o Darwinie, przedstawiając w niej rodzinę Darwina, jego przyjaciół i przeciwników. Sztuka ta wystawiana była na deskach jednego z teatrów niemieckich przez Paula Vegnera. Do znanych moich dramatów należą m. in.: „Domek na błocie" (wojenna sztuka detektywistyczna) oraz „Kamień rzucony w cichy nurt", wystawiany w Związku Radzieckim dwa lata temu. Bohaterem tego ostatniego jest prosty człowiek inżynier, który wyrasta na bohatera.

Dużo słów uznania zyskała moja powieść napisana jeszcze w roku 1933 pt. „Bazyli", ukazująca na tle budowy klasztoru Izaaka (jednego z najpiękniejszych zabytków Leningradu — przyp. własny W. K.) tragiczne życie młodego architekta. To powieść historyczna.

— Czy od dawna mieszka Pan w Leningradzie?

— W Leningradzie mieszkam od młodości, od czasów wstąpienia na Instytut Elektrotechniczny. Spędziłem tu również ciężkie lata blokady tego miasta. To bardzo smutne wspomnienia. W oczach Rachmanowa dostrzegam zamyślenie. Akurat jestem pod wrażeniem pobytu na Cmentarzu Piskariewskim, miejscu spoczynku ogromnej ilości bezimiennych bohaterów Leningradu. Widzę jeszcze dziewięć karteczek wstrząsającego pamiętnika dziewięcioletniej Tani Sawielczewej, na których odnotowane są dziecinną ręką zgony najbliższych jej osób.

Rachmanow nie lubi mówić o swojej twórczości zbyt dużo. Interesuje się życiem kulturalnym Polski. Szczególnie interesuje go polski film i teatr. Na jego biurku leżą nawet dwie książki poświęcone polskiemu filmowi. Jedna z nich nosi tytuł „Andrzej Wajda". Skrzętnie notuje zebrane przeze mnie przed wyjazdem do Związku Radzieckiego skąpe wiadomości, dotyczące wystawiania jego sztuk w Polsce. Chciałby Polskę odwiedzić. Tymczasem prosi o przekazanie serdecznych pozdrowień dla literata i reżysera Jerzego Pleśniarowicza, dla aktorów Teatru im. W. Siemaszkowej, dla widzów, i w ogóle — dla wszystkich polskich przyjaciół.

Na zakończenie rozmowy proszę jeszcze o kilka słów napisanych i o zdjęcie. Bardzo chętnie — odpowiada pisarz, ale zdjęcia z ostatniego okresu nie posiada. Dam Wam jednak zdjęcie zrobione w tym roku, w którym napisałem „Niespokojną starość". Będzie może nawet cenniejsze.

Dziękuję serdecznie. To będzie świadczyło również o tym, że autor „Niespokojnej starości" pragnie być zawsze młody, i że sztuka jego nie postarzała.

Kiedy wychodzę z mieszkania L. Rachmanowa, w mieście zapada wieczór. Marsowe Pole, przy którym stoi dom zamieszkały przez pisarza tonie w światłach ustawionych pod drzewkami lamp. Drzewka są przecież gołe, a wyglądają tak, jakby zakwitały. Są, jak niezwykłe bzy w ten chłodny, listopadowy wieczór.

Plac ten jest niezwykle bliski dla wszystkich mieszkańców Leningradu. Tutaj bowiem mieści się za murem mały cmentarz, na którym leżą m. in. pierwsi polegli w czasach Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, zasłużeni rewolucjoniści. To tutaj, bezpośrednio po śmierci W. I. Lenina schodzili się tłumnie mieszkańcy Leningradu, by uczcić milczeniem pamięć Wielkiego Człowieka. Niedaleko błyszczy Newa. Mijam spacerujących leningradczyków, którzy zawsze widzą w swoim mieście utrwalone ślady historii. A nocą w przyjemnym pokoju jednego z lenigradzkich hoteli, nie można zasnąć. Chciałoby się stać nad Newą i wpatrywać w zabytkową „staruszkę" Aurorę. Można też dostać się na plac przed Pałacem Zimowym. I budynek Smolnego nęci.

Jest jeszcze „Jeździec Miedziany" — i miejsce, gdzie pojedynkował się Puszkin. Jakże groźnie i niezwykle musi wyglądać nocą Twierdza Pietropawłowska. A może odnaleźć zapamiętany dom, w którym mieszkała kiedyś Maria Szymanowska. Można wpatrzeć się w jego świecące okna. Czy jest jeszcze przy nim cień jednego z „przyjaciół Moskali" — Mickiewicza? Piękny jest nocą Leningrad, miasto, którego jednym z najwierniejszych obywateli jest Leonid Rachmanow.

WIESŁAW KULIKOWSKI

społeczno-kulturalne pamiętników

go. Zakres konfliktowości i sprzeczności tego procesu jest ogromny, ale rozgrywa się nie na zasadzie politycznego antagonizmu, życiowych interesów klasowych, lecz na zasadzie zderzeń i różnic w kulturze, w obyczajach, w postawach. Ta cecha trudnego procesu decyduje w dużym stopniu o humanistycznym obliczu samego mechanizmu przemian społecznych.

Bardzo trafnie ujął tę sprawę Julian Kawalec, znany nam z jednego, z poprzednich seminariów ze swojej świetnej wypowiedzi. W tym kierunku idzie jego najnowsza wypowiedź w ankiecie „Przemiany Polaków", którą drukowała „Polityka". Pozwolę sobie przytoczyć fragment wypowiedzi:

„To co się stało po ostatniej wojnie sprawiło, że pękły zapory społeczne, nastąpiło zderzenie społecznych środowisk, zaczęło się ich przemieszczanie, mieszanie. Jest to droga do podnoszenia i równania poziomu życia i startu, droga do jak gdyby ujednoliconego typu człowieka, droga niełatwa, zygzakowata i pełna wertepów. Ten proces wciąż trwa i dlatego trudno mówić o typie współczesnego Polaka, bo on jest dopiero w stanie tworzenia, co się dopiero wyłania z zahamowań i kompleksów, jest migotliwy, trudny do uchwycenia. Ale można w nim już coś dostrzec. Razi w nim zbyt gwałtowne zrywanie z dobrą tradycją obyczajową, a także zbyt głęboki pokłon w stronę dóbr typu technicznego i tolerancja wobec własnego i cudzego sprytu i cwaniactwa, a z drugiej strony zachwyca w nim to, co sprawiło, że ten kształtujący się dopiero typ człowieka dokonał rzeczy wielkich, że w tak krótkim czasie zbudował całe miasta i przebudował wsie, że jest gotowy do poświęcenia i szerokiego gestu".

Faktem jest, że na wsi dziadkowie, starsi ojcowie często żyją w kręgu wartości starej formacji kulturowej, podczas, gdy ich dzieci żyją w kręgu nowej kultury Polski zindustrializowanej, przemysłowej. Ta oboczność różnych kultur, które wytwarzają siłę zwarcia pewnych nowych wartości, jest jednym z najbardziej kapitalnych zjawisk istniejących obiektywnie w rzeczywistości i opisywanych w pamiętnikach. W oparciu o pamiętniki można pogłębić istniejącą na ten temat teorię o mechanizmie zmian kulturowych dokonujących się w społeczeństwie budującym socjalizm. Mechanizmie innym niż ten, który sugeruje teorie kultury widzące ten mechanizm zmian tylko czy przede wszystkim w pewnych nowych możliwościach technicznego przekazu kultury.

Jeśli z tego punktu widzenia spojrzymy na ubiegłe 25-lecie przemian kulturowych w Polsce Ludowej, to trzeba tu wysnuć wniosek, że ten zasadniczy proces kulturotwórczy, który zadecyduje o tym, jaki będzie kształt kultury narodowej, styl życia, w toku którego formułowane będą oparte na socjalistycznych przesłankach pierwsze bardziej trwałe obyczaje — jest jeszcze przed nami. Czy nie jest to teza pesymistyczna, czyżby 25-lecie nie dało rezultatów, które można nazwać utrwalonym już kształtem kultury? Nie chodzi tu o teorię kultury, o wizję, jaka ona ma być, ale o faktyczne zachowanie ludzi. W świetle pamiętników nie ma takich utrwalonych wzorców, wszystko jest płynne.

Jeśli mówię o następnym 25-leciu, jako o fazie kształtowania się z tej magmy obyczaju i kultury nowej, co pokazują pamiętnikarze, sądzę tak również w oparciu o określone przesłanki demograficzne. Wyż młodzieżowy, przez co demografowie rozumieją roczniki od 1946 do 1960 roku, który liczy blisko 11 milionów obywateli w Polsce, a więc obejmuje co trzeciego obywatela, będzie wchodził do czynnego życia społecznego i społeczeństwa dorosłego do roku 1985 — 1990. Można sądzić, że 1/3 narodu będzie równocześnie w jakimś stopniu autorem, przedmiotem tego (jak można powiedzieć) aktu stworzenia nowej kultury. Oczywiście przy pomocy w dużym stopniu — i to jest szansa naszej generacji, jeżeli można dzielić te sprawy na generacje przy naszej pomocy i czynnym współdziałaniu z generacją wyżową.

*

Jedną z podstawowych przemian, które już nastąpiły i które widać w pamiętnikach, jest powolna zmiana stosunku do państwa i zmiana stosunku do — najogólniej biorąc — naszej sytuacji, do kwestii naszego położenia geopolitycznego w Europie. Stosunek do państwa w tradycyjnej mentalności chłopskiej był stosunkiem przede wszystkim, jako do pewnego aparatu pańskiego, stworzonego przez panów dla ich korzyści. Opozycja pan — chłop — była bowiem jedną z podstawowych cech postawy chłopskiej. Zresztą nie została ona wyeliminowana całkowicie do dnia dzisiejszego i w pamiętnikach nadal spotyka się, jako opozycję chłop — urząd. To znaczy z jednej strony chłop, a z drugiej strony urzędnik, który go nie szanuje, bądź wręcz gra na jego niekorzyść, mimo ogólnej teorii i zasady, że państwo działa z korzyścią dla chłopów. Przemiana następuje tu przede wszystkim w kierunku nieutożsamiania państwa z urzędnikiem, traktowania go jako dobra w określonej wartości, które jest własnością również chłopską, jest własnością ludzi pracujących. W związku z tym narasta świadomość, że wszystkie organa i instytucje tego państwa powinny być rzeczywiście przedmiotem kontroli ludzi pracy, a nie tylko kontroli z góry, czy narzędziem egzekwowania obowiązującego prawa.

Kwestia samorządności jest kwestią niezwykle istotną dla pogłębienia tego, co nazywamy demokracją faktyczną i z którą w świetle pamiętników kłopoty są nadal ogromne. Przejście bariery nieumiejętności czy braku możliści rozwinięcia samorządności do postawy współgospodarza faktycznego, nie tylko poczucia współgospodarzenia, ale faktycznego działania w tym kierunku — jest jednym z najtrudniejszych świadomościowo-politycznych i kulturowych procesów współczesnych, jakie w świetle pamiętników zachodzą.

Można tu postawić hipotezę, przynajmniej w świetle relacji ludzi, jakimi są pamiętnikarze, że ta bariera jest łamana skutecznie. To, co Bojko nazwał duszą panszczyźnianą w chłopstwie, jest już łamane skutecznie. Natomiast czy istnieje już ukształtowana ta „dusza", którą nazwalibyśmy duszą współgospodarza, duszą człowieka samorządnego, świadomego i obowiązków i praw, umiejącego egzekwować od siebie i innych obowiązki i prawa?

Ten proces jest już rozpoczęty i poważnie zaawansowany. Mogę się tu powołać na tezę, którą wysunął Mieczysław Grad, że sama instytucja pamiętnikarstwa jest przejawem demokracji politycznej. Tam, gdzie nie ma demokracji, gdzie panuje kult jednostki i dyktatura, nie spotykamy pamiętnikarstwa, bądź występuje ono w szczątkowych formach, bądź będzie to pamiętnikarstwo apologetyczne.

Mamy tu do czynienia z całym kompleksem nader interesujących dla politycznego pisarstwa literackiego. Dawniej część starszego pokolenia pisarzy przywiązywała ogromną wagę do rozrachunków inteligenckich, sprowadzających się w gruncie rzeczy do rozrachunków z tym, czy nadal i na ile inteligencja może spełniać rolę kapłana i jednocześnie posiadacza udzielającego kultury masom według pewnego rozdzielnika. Na tym tle powstawała po wojnie pożyteczna literatura. Ale z czasem stała się ona anachronizmem, przybrała postać literatury rozrachunkowej z okresem kultu jednostki, a w skrajnych przypadkach rozrachunku z pozycji antysocjalistycznych w stosunku do partii, państwa i samych mas ludowych. Szansa autentycznej literatury o ostrzu politycznym tkwi między innymi w pokazaniu procesu narastania w ludziach duszy współgospodarza, w miejsce dawnej wiejskiej duszy pańszczyźnianej.

Ostatnio w dyskusji zespołu pracującego pod kierunkiem prof. Gałaj poświęciliśmy tym sprawom sporo czasu w oparciu o pamiętniki z najnowszego konkursu „Moje pierwsze kroki w gospodarstwie".

*

Chciałbym zakończyć omówieniem problemu zmian, które dokonują się w ludzkich postawach wobec kultury. A więc problemu, co się dzieje z kulturą wtedy, kiedy następuje zderzenie? Czy w wyniku zderzenia bierze górę — w świetle pamiętników i innych badań — tylko jedna strona, czy mamy tu do czynienia z jakimś procesem tworzenia się stopu. Na ile istnieje szansa stopu szlachetnego (w pewnej przenośni), a na ile w tym stopie mogą się znaleźć elementy niedobre z punktu widzenia przyszłości kultury, społeczeństwa, jego wychowania.

Wśród młodzieży, wyraźne są objawy rozszerzenia potrzeb, zainteresowań i aspiracji kulturalnych.W wypadku młodzieży wiejskiej wzmagały się one w całym 25-leciu systematycznie i właściwie osiągnęły w ostatnich latach pułap zbliżony do tego, jaki reprezentuje młodzież z innych środowisk. Nie ma w zasadzie większej różnicy między aspiracjami młodzieży miejskiej i wiejskiej, choć są różnice między możliwościami młodzieży tych dwóch środowisk. Młodzież wiejska mniej lub bardziej zdecydowanie odrzusa stary styl życia, kultury środowiska, oparty na całokształcie stosunków, rytmie pracy wsi i aspiruje do uczestniczenia w różnorodnych formach kultury.

Następuje odwrót do traktowania kultury, jako marginesu pracy. Było to charakterystyczne dla dawnej kultury ludowej, która była jednocześnie kulturą pracy, ponieważ nie było w niej podziału między uczestnictwem w kulturze, a pracą i obyczajami kulturowymi. Obecnie następuje ewolucja do postawy traktowania kultury, jako dziedziny życia, na której usprawnienie musi istnieć wolny czas specjalnie w tym celu wyodrębniony. I to czas wyodrębniony nie od święta, lecz na co dzień. A więc następuje ewolucja od postawy wobec dóbr kultury, jako odświętnego marginesu codziennej egzystencji, co było koniecznością społeczno-materialną z dawnych warunków wsi, do postawy wobec tych dóbr, jako dóbr pierwszej potrzeby. Jest to proces niezwykle skomplikowany, oznacza bowiem nierzadko odrzucenie wszystkiego co było w tradycyjnej kulturze ludowej i przyjmowanie kultury miejskiej w jej formach najbardziej powierzchownych.

Druga postawa polega na negowaniu tradycyjnej kultury środowiskowej w tym wszystkim, co w tej kulturze wynikało z niskiego poziomu intelektualnego środowiska ludowego, poziomu określonego historycznie. Nazywa się to często ludową wiedzą o świecie, która jest pełna irracjonalnego tłumaczenia zjawisk, ponieważ nie było innego tłumaczenia. Zresztą tłumaczenie to często było wprowadzane do środowiska ludowego między innymi przez kościół. Jest to postawa odrzucania z tej kultury wszystkiego tego, co wynikało z klasowego rozwarstwienia wsi, a więc pewnych wartości polegających na autorytecie wyrastającym z posiadania, wywyższania się nad mniej posiadającymi, stworzenia hierarchii autorytetów opartych nie na walorach własnych osoby i osobistych cechach, a na walorach posiadania rzeczy, posiadania dóbr materialnych. A także całego szeregu tych elementów kultury ludowej, które wynikały z jej historycznej struktury i były pewnym koniecznym odbiciem zacofania, zapóźnienia środowiska w stosunku do ogólnokulturalnego rozwoju świata i ludzkości.

Człowiek kierujący się postawą konsumpcyjną, dość łatwo odchodzi od tradycyjnej kultury, mającej pewien podkład moralny, wchodzi w obiekt objawów kultury miejskiej, nie docierając do jej podkładu moralnego, w związku z tym zawisa w pewnej próżni moralnej, zadowala się objawowym biernym uczestnictwem w tej kulturze. Przeciwdziałanie tym zjawiskom, które mają głębsze przyczyny, jest jedną z najważniejszych trosk pamiętnikarzy, a za mało jest troską naukowców, pedagogów, którzy bardziej zajmują się wychowaniem dla przyszłości, a mniej tym, skąd wynika takie a nie inne ukształtowanie obyczajów wśród części młodzieży.

Kończę wnioskiem szansą m. in. literatury jak i szansą upowszechnienia pamiętnikarstwa jest pokaza nie tej genezy historycznej. Bez historii człowiek jest słaby, może tylko ślizgać się po powierzchni własnej kultury narodowej.Może tylko brać jej objawy i korzystać najbardziej namiastkowo z kontaktowania się z takimi czy innymi jej wartościami. Natomiast z historią, ze świadomością historyczną procesu idzie takie przeżywanie kultury, które wytwarza wartości moralne, społeczne i polityczne.

DYSKUSJA

WALENTY KUNYSZ: **Mówił m. in.** o tym, jakie kłopoty mają twórcy ludowi z publikacjami swych utworów. „Przesłałem np. na konkurs 35 stron maszynopisu moich pamiętników. Otrzymałem dyplom, nagrodę i zapewnienie, że pamiętnik się ukaże. Jednak się nie ukazał drukiem w zbiorze przed kilku laty wydanym w „Książce i Wiedzy". I do dziś się nie ukazał. Moje „Wesele Kraczkowskie", które niedawno się ukazało miało za mały nakład — tylko 800 egzemplarzy. Brakło już książki w księgarniach — wszyscy mnie proszą o egzemplarze. Chciałem zakupić w Lublinie 500 sztuk dla całej wsi Kraczkowej, gdyż chłopi chcieli koniecznie mieć wesele — otrzymałem tylko 8. Apeluję do posła, redaktora Grada, by pomógł w sprawie ponownego wydania książki. Apeluję do red. Bronisława Gołębiowskiego, aby wpłynął na wydanie pamiętników chociażby częściowo. Mam na 25 książek materiałów naukowych, folklorystycznych i etnograficznych. Chciałbym jeszcze przed swoją śmiercią coś dać z siebie społeczeństwu. Apeluję do redaktora Grada, by jako prezes LSW pomógł wydać nie tylko moją twórczość, ale by podjąć starania nad wyszukiwaniem nie znanych jeszcze twórców ludowych i publikowanie ich utworów, gdyż te materiały bezpowrotnie giną, ulegają spaleniu lub rozproszeniu. Tak zginęły bardzo cenne rękopisy po zmarłej przed kilku laty Marii Truchanowicz, pracowniczce Wydziału Kultury Prez. WRN. Zostawiła ona po sobie materiały na co najmniej 4 książki etnograficzne. Zginęło wiele wartościowych rękopisów po zmarłej Lidii Nartowskiej — uległy spaleniu. Boję się, by po mojej śmierci nie spotkało to moich prac i zbiorów.

ROMAN TUREK: Chciałbym tu krótko przedstawić, w jaki sposób wyspinałem się na Parnas literacki.

Przy schyłku pracy zawodowej zacząłem pisać wiersze. Niejedne ich naręcze moja żona spaliła, ale nie ma co żałować. Nawet bardzo tolerancyjna redakcja „Nowin Rzeszowskich" na pewno by ich nie wydrukowała. Namówiono mnie na prozę. Pisałem bardzo dużo i tylko na leżąco, gdyż do dzisiaj tylko w ten sposób potrafię pisać. Nie wiedziałem nawet co piszę i po co, ale to sprawiało mi ogromną satysfakcję.

Wtedy przypomniałem sobie, że przecież najmłodszy brat moich serdecznych przyjaciół z tej samej Woli Dalszej, jest naczelnym redaktorem w Warszawie. Był to, obecny tu prezes Mieczysław Grad. Po pewnym okresie wyczekiwania przybył do mnie do domu bawiąc przejazdem w Łańcucie i zaczął czytać moją pisaninę, zabrał ją z sobą do Warszawy. Później doradzał mi i pomagał. W rezultacie on był wydawcą i patronem moich dwu książek. To prezes Grad patronując mojej pracy pisarskiej uczynił ze mnie pisarza.

Roman Turek mówił również o kłopotach związanych z wydaniem następnych swoich książek, o pertraktacjach z Wyd. Lubelskim i Wyd. Łódzkim. Chodzi o trzeci tom gawęd pamiętnikarskich, reportaż z podróży do Związku Radzieckiego i tom wspomnień z okresu okupacji. Mówił także o swoich planach twórczych na najbliższą przyszłość.

BRONISŁAW PIETRAK — prezes Stowarzyszenia Twórców Ludowych: Ta gruba książka, którą trzymam w ręku zawiera wklejone wycinki mówiące o tym jak doszło do powstania Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Trzeba było aż dotrzeć do tow. Gomułki, by wydał o pisarstwie ludowym opinię, która przekreśliła wszystkie trudności, jakie piętrzyły się przed ruchem twórców ludowych w Polsce Ludowej...

Jest wielu ludzi, którzy na nasz temat mają coś dobrego do powiedzenia i wielu także niestety takich, którzy nie mają nic do powiedzenia a jednak mówią. I właśnie w tej grubej książce są wycinki z prasy z głosów i publikacji na temat ruchu twórców ludowych. Zbieram je i wklejam, gdyż to jest ważne — na tym się można później opierać...

Widzimy, że wokół tego ruchu twórczości ludowej zgromadziło się cały szereg ludzi, którzy włączają się w ten nurt. Przedtem nie mogło być mowy, by w jakimkolwiek województwie odbyło się takie, jak nasze dzisiejsze sympozjum. Dziś radzimy wspólnie i naukowcy i ludzie młodzi — to właśnie jest bardzo dobrym zjawiskiem, że przysłuchują się temu sympozjum ludzie młodzi i wchodzą w ten nurt.

Tu we wszystkich referatach pokazano ile wartości twórczych tkwi w regionie rzeszowskim. Apeluję do władz wojewódzkich, by w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki utworzyć tu w Rzeszowie oddział wojewódzki Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

...Dlaczego piszemy... W tej naszej twórczości, która wyrasta z potrzeby i przeżycia jest kawałek naszego serca. Dlatego ona przetrwa. Ludzie wsi właśnie stworzyli piękne przyśpiewki regionalne, na których bazują nasze zespoły — oni stworzyli piękne stroje ludowe — świątki i inne. Twórczość ludowa polska za granicą, na wystawach odnosi wielkie sukcesy i przynosi dewizy. W zeszłym roku uzyskaliśmy 42 mln zł dewizowych za eksponaty twórczości ludowej.

Dlatego Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Komitet Centralny partii przywiązują do tego ruchu i twórczości wielką wagę.

Chłop w Polsce Ludowej walczył o przeprowadzenie reformy rolnej, nie jest to tylko po to, by płacić podatki i uprawiać ziemię. Ma duże ambicje, wysoką świadomość społeczną, którą chce uzewnętrznić w swej twórczości i ma do tego prawo. To sympozjum powinno otworzyć drzwi do zorganizowania oddziału Stowarzyszenia Twórców i Pisarzy Ludowych w Rzeszowie, by mogli oni w pełni wykorzystać istniejące możliwości rozwoju swojej twórczości dla dobra kultury narodowej. Niech zostawią potomnym dokument swoich czasów, by wiedzieli, **jak się w naszych czasach żyło.**

JAN STRYCZEK: **Sprowokował** mnie do zabrania głosu prezes Grad w swoim referacie i dlatego powiem parę zdań. Dzięki prezesowi Mieczysławowi Gradowi, krajanowi z mojej wsi zostałem pisarzem. Skłonności do pisania miałem od urodzenia, ale nie było przedtem warunków ani możliwości tworzenia. Gdy wyszła moja książka „Chłopskim piórem", nabrałem, tak jak tu mówił Turek, chęci do pisania. Zabrałem się do drugiej książki. O drugiej mojej książce mówił chyba prezes Grad w swoim referacie, gdy powiedział, że niektórzy ludowi pisarze zatracają czasem swój styl i naśladują gotowe wzory. Była to powieść w dwu tomach, ale nie wyszła drukiem. Złożyłem ją w bibliotece Ossolineum. Chciałem w niej przedstawić życie wsi na przełomie XIX i XX wieku. Nie miał mi kto doradzić, pomóc. Zresztą mam bardzo trudne warunki pisania. Mam gospodarkę i gdy pisałem pierwszą i drugą książkę to nieraz czyniłem to przy robocie w gospodarstwie — np. młóceniu cepami. W drugiej powieści jak pisał do mnie prezes Grad, nie było żywego działania. Za to było za dużo sentymentalizmu, tkliwości. Może i tak wyszło. Ale chciałem pisać jasno, zrozumiale, by wszystko się dobrze z sobą wiązało i by mnie rozumieli czytelnicy. Ten brak pomocy jednak był mi przeszkodą i on to spowodował, że książka się nie udała.

FRANCISZEK KOTULA: ...Przypomnę poezję sowizdrzalską z XVII wieku — tam ludowi poeci pisali przeciwko mieszczaństwu, księżom, szlachcie itd. Istnieje dzisiaj anonimowa poezja satyryczna, społeczna — nie ma w niej absolutnie walki z ustrojem. Jest tylko walka z pewnymi niedomaganiami społecznymi. Kursują te satyry anonimowo. Mam ich duży zbiór — próbowałem je wydać tu w Rzeszowie — nie udało się.

Kolega Żyga w swoim referacie mówił o zjawisku zaniku poezji ludowej. Z tym się nie mogę zgodzić. W swoich zbiorach mam całe góry pamiętników i twórczości chłopskiej. Zaawizowałem, że takie zjawiska istnieją w Życiu Literackim. Chciałem to kontynuować, ale też się nie udało. Trzeba stworzyć warunki, by można to było ujawnić i zapoznać z tą twórczością społeczeństwo. Była tu mowa o Rysiu. Pisze on znakomitą książkę, ilustruje ją akwarelami i do tego dołącza nuty. I ta książka nie może się ukazać, nie może znaleźć wydawcy. A więc twórczość ludowa nie zamiera, lecz nadal żywo się rozwija. Popieram więc apel kol. Żygi, pod adresem prezesa LSW Grada, by zająć się poważniej i bardziej intensywnie tą literaturą. Wynikiem naszego sympozjum powinno być nowe, rzeczowe podejście do tych spraw.

MAREK ZŁOCH: Jechałem z niepewnością do Rzeszowa, gdyż nie wiedziałem co mnie tu czeka. Z przyjemnością mogę teraz stwierdzić, że moje obawy były płonne — to co tu usłyszałem napawa mnie optymizmem. Tym większym, że zjazd kielecki młodych pisarzy w moim osobistym przekonaniu nie potrafił odpowiedzieć na istotne problemy dręczące młodych pisarzy, a tutaj na tym sympozjonie w niektórych wystąpieniach usłyszałem odpowiedzi na pytania, które każdy z nas uczestników zjazdu kieleckiego sobie zadawał.

A teraz uwagi w związku z referatami sympozjum. Jak wynikało z ref. dr Gołębiowskiego — pamiętnik jest to skrótowa forma relacji obrazu przemian, które mają miejsce w wyniku styku dwóch kultur lub dwóch jakichś faz społeczno-politycznych. Jest to przyczynek do pełniejszego uchwycenia zakresu tych przemian. Zgadzam się także z tym co powiedział prezes Grad, że pamiętnik to nie tylko zapis osobistych przeżyć, ale również bardzo często samodzielne dzieło literackie. Właśnie poprzez pamiętniki łatwiej dochodzimy do nowego kształtu powieści obyczajowej, one pomagają ją kształtować i tworzyć. A na taką powieść, gęsto utkaną faktami i zdarzeniami jest wielkie społeczne zamówienie.

Mówca zwrócił następnie uwagę na to, że nie cała młodzież u nas jest tak sfrustrowana i wyalienowana jak wynikło to tu z dyskusji. Ale takie postawy zdarzają się u młodych pisarzy. Czują się oni wtedy wyobcowani, gdy nie dostrzegają najistotniejszych elementów przemian w naszym życiu, jego bogactwa i dynamiki — gdy po prostu nie są z nim ściśle zrośnięci.

TADEUSZ CHUDY: Chciałbym bardzo pogratulować pismu WIDNOKRĄG i rzeszowskiemu ośrodkowi KKMP inicjatywy dzisiejszego spot-

(ciąg dalszy na str. 9)

Maria Cecylia Guziołek

Poznawanie Rumunii

Tiberiu Ricci i jego współpracownicy

W samo południe, ledwie Ciobano z fantazją, ale i precyzją wytrawnego kierowcy umieścił „Moskwicza" wśród samochodów wypełniających nieomal bez reszty dziedziniec budynku przy stradzie Academiei 3-5, a już przez tę gęstwinę podążał w naszym kierunku pan o typowej urodzie południowca, którego bujną czuprynę posrebrzył czas.

— Proszę bardzo, pan Ricci oczekuje!

Na pierwszym piętrze gmachu gościnnie otwarte ciężkie, dębowe drzwi wiodą do nader obszernej sali konferencyjnej.

W progu ujmującym uśmiechem wita średniego wzrostu, nie pierwszej już młodości mężczyzna. To pan Tiberiu Ricci, naczelny architekt, laureat nagrody państwowej, kierownik Centralnego Instytutu Architektury Bukaresztu, w którym właśnie goszczę. Pod jego bacznym okiem przekształca się Bukareszt w stolicę nowej Rumunii, rośnie miasto, które nie jest podobne do żadnej z europejskich metropolii. Po prostu jest sobą i odnoszę na każdym kroku wrażenie, że chce zachować swój niepowtarzalny urok. A tę indywidualną, rzadko piękną urodę miasta tworzy kapitalny pietyzm dla zieleni (ileż tu parków, pasów i skwerów pełnych kwiatów, najrozmaitszych krzewów i drzew!) i rozkochanie urbanistów w przestrzeni — placach, szerokich bulwarach, alejach.

Nieomal rozrzutność miejscem w planach przestrzennych jest także cechą charakterystyczną nowych dzielnic. Jaki więc jesteś Bukareszcie, jaki będziesz?

Fascynacja miastem, które już dziś zamieszkuje ponad 1,5 mln osób, a obroniło się przed tak dobrze nam znaną atmosferą wiecznie spieszących się ludzi i aut — sprowokowała moją wizytę w Instytucie Architektury Bukaresztu. Nie przypuszczałam jednak, że w osobie naczelnego architekta spotkam wielbiciela sztuki polskiej.

— Jeszcze w latach studiów oglądałem wystawę polskiej grafiki i plakatu. Polska plastyka już wówczas mnie urzekła. Do dziś pozostaję pod jej wrażeniem i pozostanę na zawsze!

Pan Ricci był także dwa razy w Polsce. Zna Kraków i Warszawę. Zachwyca się pięknem tych miast. Ze wzruszeniem wspomina pietyzm, z jakim odbudowaliśmy zabytkowe dzielnice Warszawy, z uznaniem mówi o osiągnięciach polskiej architektury współczesnej. W słowach tych nie ma niczego ze zdawkowej grzeczności gospodarza wobec gości i ich kraju, nic z pustej kurtuazji. Dziś mówi o naszej plastyce i architekturze, jako fachowiec, pilny obserwator nowości i koneser sztuki.

Na ścianie mapa Bukaresztu. Przyciągają wzrok barwne płaszczyzny. Na nich jeszcze naniesiono najrozmaitsze figury geometryczne, wypełnione kreskami, kratką. Mozaika jest wizją miasta w 1990 roku.

Rozsądna miłość

Bukareszt liczy sobie 510 lat, według metryki, czyli pisanego dokumentu. Ile naprawdę — trudno powiedzieć. Awansował do rangi stolicy przed niewiele ponad 100 laty, bo w 1861 r. Był jednak do połowy XVIII wieku głównym miastem Wołoszczyzny. Z tego okresu pochodzą piękne budowle w stylu Brincoveanu, który jest utożsamiany z narodowym budownictwem rumuńskim. Jako klasyczny przykład pokazuje się podbukareszteński zamek Mogosoaia — siedzibę książąt mołdawskich Brincoveanu. Dziś odrestaurowany mieści zbiory sztuki sakralnej, rzeźby, zdobnictw w srebrze i złocie.

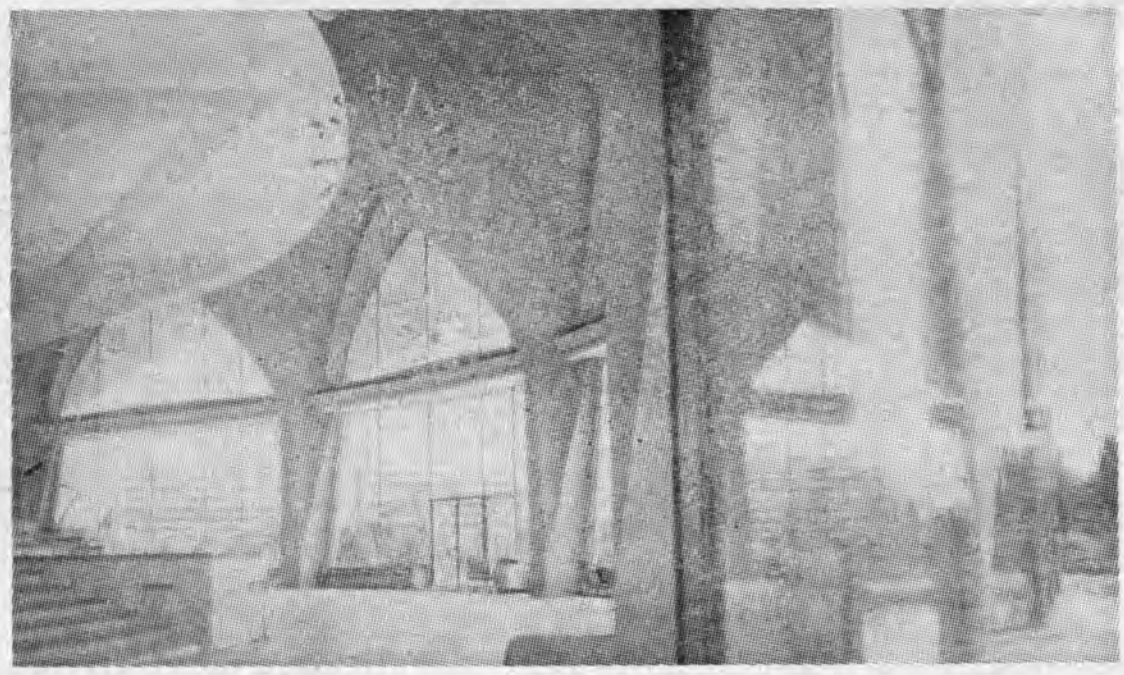

Foyer budynku cyrku państwowego w Bukareszcie.

Pyszni się bajecznymi posadzkami z marmuru, a jedna z komnat ma nawet złotą mozaikę. Z zespołu zamkowego okazały budynek przekazano artystom na Dom Pracy Twórczej. Wymarzona atmosfera! Coś z nastroju Krasiczyna i Łańcuta!

Rumuni uwielbiają ten styl, pochodny zresztą włoskiemu. Do lat trzydziestych XX wieku panował wszechwładnie. Cacuszko, jakim jest willa prof. dra Mikołaja Minovici, nazwana przez jej właściciela „Domem mego niepokoju" — dziś bajeczne muzeum sztuki ludowej — nawiązuje również do stylu Brincoveanu.

Do zabytków kultury Rumuni odnoszą się z wielkim pietyzmem, ale bez fałszywego sentymentu, który pozwala na trzeźwą klasyfikację. Konserwują tylko prawdziwe dzieła sztuki.

Stąd w Bukareszcie rzadko spotykany konglomerat, dający niezapomniane efekty. Pełna uroku koegzystencja supernowoczesności z perełkami architektury dawnej. Z budownictwem nijakim urbaniści dają sobie znakomicie radę, ale nie postępują bezceremonialnie. Rozbierane są tylko te domy, które już nie nadają się do zamieszkania lub przeszkadzają w budowie nowych kompleksów. W Bukareszcie — mimo ogromnego rozwoju budownictwa — panuje dobrze nam znany głód mieszkaniowy, chociaż nie w tak drastycznym stopniu.

Bukareszt był w nieznacznym stopniu zniszczony w czasie wojny. Po odbudowie (głównie w okolicy dworca północnego) — można było przystąpić do budowy dzielnic mieszkaniowych dla robotników rozwijającego się przemysłu. Dziś stolica wytwarza 20 proc. produkcji globalnej przemysłu rumuńskiego. Fabryki istniały na poboczu miasta. Osiedla budowano w ich pobliżu, na wolnych terenach. Rok rocznie oddawano do użytku 14 tys. mieszkań różnej wielkości. Przeciętnie 2—3-pokojowe. W bieżącym roku Bukareszt wzbogacił się o ponad 22 tysiące mieszkań. Na przyszły planuje się budowę dalszych — 23 tys. Jest to znaczny zastrzyk dla miasta, biorąc pod uwagę, że ze starego budownictwa obecnie ubywa maksymalnie 2 proc. mieszkań.

Za 20 kilka lat

Po zaspokojeniu najpilniejszych potrzeb budownictwa mieszkaniowego i użyteczności publicznej, opracowano generalny plan rozwoju Bukaresztu. Wizję stolicy lat 1990 roztacza dr Ioan Ciobotaru — przewodniczący Zrzeszenia Architektów Rumuńskiej Republiki Socjalistycznej, którego zaprosił na nasze spotkanie pan Ricci.

Za 20 kilka lat Bukareszt będzie miał 2 mln ludności. Nie przewiduje się dalszego rozrostu miasta. Centrum pomieści trochę ponad 1 mln osób, reszta zamieszkiwać będzie w 6 dzielnicach, tworzących miasta-satelity. Ich zarys już dzisiaj urzeka przybyszów śmiałością projektów, fantazją, kolorytem i przestrzenią, zarys, bo część jest już w budowie, jak Tytan, Drumul, Taberei itd. Tytan np. powstaje na 690 ha i liczyć będzie 170 tysięcy mieszkańców. Dziś zamieszkuje tam już 55 tys. Realizację planu perspektywicznego rozpoczęto w 1961 roku. Finał pierwszego etapu został wyznaczony na 1980 r. — drugiego — 10 lat później.

Tę ogromną pracę realizuje Instytut Architektury. Plan jest dziełem 1 400 inżynierów, architektów, różnego typu specjalistów i pracowników pomocniczych. Zespół Instytutu dzieli się na 8 komisji. 5 z nich, to grupy projektantów budownictwa mieszkaniowego, następne zajmują się projektowaniem obiektów socjalnych, kulturalnych i urządzeń miejskich. Na czele stoi areopag składający się z kierowników zespołów projektujących, który rozpatruje projekty jednak tylko pod względem merytorycznym i dba o to, aby nie było monotonii, powtarzania się.

Opracowania wszystkich osiedli bądź gmachów użyteczności publicznej były konkursowe. Podano tylko założenia z generalnym nakazem: Bukareszt musi zachować swą specyficzną atmosferę, pozostać miastem kwiatów i przestrzeni: Miastem, które się kocha za rozmach i piękno.

Poza tym zastrzeżeniem pozostawiono pełną swobodę inicjatyw i rozwiązań urbanistycznych. Efekty są naprawdę imponujące! Dla przykładu warto zapewne podać — nam mieszczuchom zapatrzonym w wieżowce, jako symbol nowoczesności — że architektura nowego Bukaresztu wcale nie przewiduje prymatu budownictwa wysokiego. Ba, w centrum, a nie na skrajach wyznaczono nawet tereny pod budownictwo indywidualne.

I tak powstaje miasto rozległe, które wchłonie niemałe obszary rozlewiska Colentiny z jej 16 jeziorami. W pobliżu stolicy z wód Dymbowicy (drugiej rzeczki Bukaresztu) zostanie utworzone sztuczne jezioro o powierzchni 500 ha. Dziś już zagospodarowuje się odpowiednimi gatunkami drzew i roślin pobliskie miastu tereny. Lasy będą tworzyć zdrowotny pas wokół miasta, będą naturalnym wentylatorem i „fabryką" tlenu. Zresztą obecnie już 5 m kw. zieleni miejskiej przypada na jednego mieszkańca, i tę proporcję nie zamierzają budowniczowie nowego Bukaresztu zmniejszać.

Miejsce słonecznika

— Już dziś obserwujemy u nas rzadkie dla współczesnych miast zjawisko. Mieszkańcy nowych dzielnic — miast-satelitów do centrum wybierają się tylko na imprezy artystyczne, wystawy, do muzeów (czynnych tu w rozsądnych godzinach 10—18), do teatru lub na występy sławnych muzyków. Na co dzień starczy im własne osiedle. Tworzą się więc już nowe obyczaje! Powstawaniu mikroorganizmów miejskich sprzyja ich samowystarczalność! Tu równolegle z budownictwem mieszkaniowym powstają placówki handlowe i usługowe. Dla mnie zresztą dowodem, że mieszkańcy bloków uważają je za swój nowy, prawdziwy dom, były balkony pełne kwiatów i roślin. Wiele z nich świadczyło o nie byle jakich umiejętnościach zdobniczych i estetyce gospodarzy. Nie widziałam też nigdzie napisów: „szanuj zieleń", czy innych w tym stylu. Widziałam natomiast nowy wykop pod blok, przy którym pysznił się piękny słonecznik. Pozostał samiuteńki z ogródka potrzebnego pod budowę. Szacunek dla czyjegoś trudu, czy troska o kulturę otoczenia i miejsca pracy?

*

Sezon turystyczny 1969 r. mamy poza sobą. Gdy szlaki urlopowe zbliżającego się roku powiodą Was w te strony — radzę, bo warto — zejdźcie z pasażu handlowego Magheru, i zanużcie się w prawdziwym pięknie Bukaresztu. Tu historia pod rękę chodzi z nowoczesnością w zgodnej parze.

Gdy mi powiedziano, że przewodniczący stołecznej rady miejskiej jest architektem z wykształcenia — chciałam rzec, od tego trzeba było zacząć. Ale uprzedził mnie pan Ricci: Instytut Architektury Bukaresztu, jak i zespół projektantów i budowniczych sławny już dziś z urody miejscowości wypoczynkowych nad wybrzeżem Morza Czarnego bezpośrednio podlegają Radzie Państwa. Mecenat więc najwyższy!

Listy DO PRZYJACIELA

Wyrzekasz na moją niepunktualność; ponieważ niczym jej obronić nie potrafię, milczeniem pokryjmy to milczenie. Wszak to już Szekspir powiedział: „zniszczę siebie w sobie", co by znaczyło, że albo milczeć będę, albo wyrokom się poddam...

Piszę do Ciebie, wstrząśnięta cała tym wyznaniem chłopca ociemniałego, o kulach się poruszającego, niezbyt potoczyście mówiącego o swoich doświadczeniach — acz z taką nadzieją, z takim świadomym odsuwaniem nieszczęść fizycznych na plan daleki! Przypuszczam, że wiesz już, iż w Telewizyjnym Ekranie Młodych go zobaczyłam i świetnej, umiejącej szukać dziennikarce — Ewie Cembrowskiej to moje wzruszenie zawdzięczam. Wszyscy ociemniali jakoś sobie radzą w końcu i znajdują miejsce w życiu; ten chłopiec najpierw leżał latami w pancerzu gipsowym, później utracił władzę w nogach, jeszcze później utracił wzrok; są więc za nim lata przerażającego doświadczenia. I są za nim lata pięknego doświadczenia, kiedy zrobił pierwszą szczotkę, kiedy zrozumiał prawo Archimedesa, kiedy uzyskał świadectwo maturalne i kiedy uwierzył w ludzi, że potrafią być przyjaźni; że potrafią znieść kalekę ze schodów i wytłumaczyć bezinteresownie najtrudniejsze działy fizyki. Chłopiec mówił niepotoczyście, ale z precyzją znaczeniową. Nie było w tym wyznaniu, na użytek publiczny czynionym, przymiotników, barokowych meandrów, ucieczek w efektowne relacje; mówił o swojej niezwykłości językiem zwykłym, prostym i może dlatego tak bardzo wstrząsającym. Chciał być człowiekiem potrzebnym; z tej potrzeby urodziła się wiara, że może być człowiekiem potrzebnym.

Chcieć móc być — to znacznie więcej, aniżeli być po prostu. Często chcieć bywa bezrozumnie krótkie; ot taka sobie ulotna chęć, przelotna wiara w siebie. Często móc — znaczy zaprzepaścić, znaczy strach przed podjęciem ryzyka, niechęć do wysiłku; często bywa i tak, że znaczy samochwalstwo, pozę, gadulstwo, natrętne epatowanie otoczenia sobą i to najstraszniejsze gdybym zechciał, to... A jak często być jest bezmyślne? Ilu jest, a nie czuje się ich obecności? Ilu jest, a głupotą własną przeszkadza być innym? Ilu, w końcu lepiej, żeby nie było?

Pochwała działania i pracy — powie ktoś, że to zbyt wąska definicja dla drogi życiowej ociem-

CYD

W sali, w zamku, w Warszawie
przed Janem Kazimierzem
na teatrze, czasu obrad
sejmowych,
odegrano Cyda Roderyka.
Rok był naonczas Pański
tysiąc sześćset sześćdziesiąty
pierszy
jak tam słuchano wierszy
i tej tragedii Cyda.
Może tak to, nakłoni
gdy się płótno odsłoni
że rzecz godna słuchania się
wyda.

(PROLOGUS)

W 308 lat później, z okazji ćwierćwiecza Teatru im. W. Siemaszkowej i by choć skąpo Rok Wyspiańskiego uczcić — mocno okrojony z tekstu „Cyd" Piotra Corneille'a odegrano w Rzeszowie. Już nie Morsztyn, lecz Wyspiański go przełożył, Stanisław Bieliński reżyserował, a Otto Axer zbudował scenografię, urodą i lekkością pałac w Alhambrze przywodzący na pamięć; z funkcjonalnością nie nazbyt w zgodzie jednak.

Pierwszego króla Kastylii Don Fernanda, dręczonego wrogami kraj szarpiącymi, czekającego na Cyda — czyli bohatera zagrał reżyser spektaklu; zmęczenie nieudawane pokazał, głosem steranym walkami tekst podawał, tak cicho i smutnie, że sala cała wielkim współczuciem była przepełniona.

Zaś gdy Roderyk walczy z Maurami o szlachetny przydomek Cyda, Infantka, czyli Anna Kujałowicz wyzna przed swą towarzyszką Eleonorą czyli Zofią Gorczyńską:

Wszak ci na stopniach stoję
tronu,
dla mnie li tylko królewicze;
rycerzy godna pokłonu,
w poczet zalotnych ich nie liczę.
Choć dla Rodryga serce bije,
miłość i czułość w sobie skryję:
zamilkaj serce dziewicze!

Dzięki Wyspiańskiemu właśnie możemy ją usłyszeć, boć to on pierwszy przywrócił polskiemu tłumaczeniu, ze względu na osobę króla w roku pańskim 1661 słuchającego „Cyda" owo nieprzystojne wyznanie królewskiej córy, naonczas ze spektaklu usunięte... Słucha się go ze wzruszeniem, które podkreśla czerń kostiumu Infantki i secesyjny ornament kwiatowy przez Axera świadomie mu przydany i dzięki Axerowi podsuwający naszej wrażliwości pamięć o poecie — tłumaczu — malarzu, na rok przed śmiercią „Cyda" przekładającym.

Tu początek sporu dwóch rodów, niewinnie zaczęty przez Don Diega — Jana Adamskiego:

Ty masz jedyną córkę,
ja jednego syna;
Ich małżeństwo dwa domy
w przyjaźni pokuma.

Nie byłoby dramatu, gdyby nie krewki a zawistny Don Gomes, któremu krewkości naturalnej przydawał jeszcze niezrównany w onych sytuacjach Zdzisław Kozień; nie mogąc ścierpieć nominacji Don Diega na preceptora królewicza, szydliwie zakrzyknie, iż:

... — król starości twej robi
honory!

Sprostuje się więc Don Diego i z godnością odpali:

— Kto czego nie utrzymał —
widocznie wart nie był.

Później już tylko miecz szczęknie, Don Gomes skończy rolę, a oboje młodych pogrążą się w rozpaczy...

16 już lat pozostająca na rzeszowskiej scenie Irena Chudzikówna, z okazji ćwierćwiecza teatru nagrodzona za tę wierność odznaką „Zasłużony dla województwa rzeszowskiego" — cierpienia 16-letniej Szimeny i miłość dla Rodryga odegrała; ów zaś Roderyk — Cyd szlachetny, bojem wsławiony tak młodo, lat w sztuce 17 liczący, doświadczonym aktorstwem Bogdana Kiziukiewicza wsparty, między kochanie swoje a powinność rodzicowi rozdarty — męstwem i cnotą owe cierpienia umiłowanej w radość powolną przemieniał. Oboje przeto ze szlachetnym patosem a wzruszeniem, oddawszy ojcom co należne, ojczyźnie wierni — dobiją zapewne do nawy małżeńskiej, gdy wróg ze szczętem polegnie.

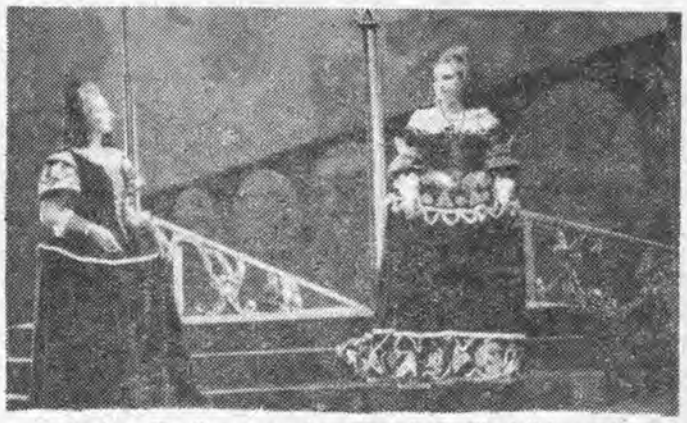

Teatr im. W. Siemaszowej — „Cyd" Pierre Corneille'a w przekładzie Stanisława Wyspiańskiego. Reż. — St. Bieliński, scen. — Otto Axer. Osoby: St. Bieliński, A. Fornal, A. Kujałowicz, Z. Kozień, I. Chudzikówna, J. Adamski, B. Kiziukiewicz, Z. Gorczyńska, J. Ulatowska, T. Olesiński, Fr. Buratowski, A. Kossowski, J. Kulicki. Premiera 27 listopada 1969 r.

Tekst: Krystyna Świerczewska. Zdjęcia: Fr. Myszkowski

niałego chłopca. Pewnie i tak, ale gdy rozważysz co znaczy naprawdę działanie i praca — może choć Ty dostrzeżesz je szerzej. Naturalnie, że w naszym życiu jeszcze jest miłość, rodzina, dom, dzieci — szalone w bogactwie jego ozdoby, ale i one też takie bywają, że w nadmiarze szczęścia często jawią się bardzo rychłym końcem, że z miłości do nienawiści tylko krok nieuważny czyniąc pierwszą rujnujesz — drugą rozżarzasz? A praca? — Ta Ci pozostaje. Oczywiście, że odrzucam wszelkie kojarzenia pracy z jarzmem, twardym, nielubianym obowiązkiem, wykonywanym wbrew predyspozycjom; żeby wyżyć, żeby przeżyć, żeby rok mniej jej pozostawał co roku. Ale praca jako sens i lekarstwo na nieudane życie fizyczne, na lęki psychiczne, gdy warunki miłość ograniczają, rodzinie nie nazbyt sprzyjają — ta praca podnoszona do rangi celu, właśnie mi się objawiła dzisiaj, gdym słuchała ociemniałego chłopca.

Bywa, że czasem przechodzę obok kaleki przywiązanego do wózka (czy to wózek, czy może tratwa z rolkami — nie wiem) — swym widokiem burzy moją wrażliwość; do czapki coś tam wrzucam, nie patrząc, bom nie w stanie. Zapewne temu niewiele pozostało do działania — myślałam do tej pory. Dziś tak nie myślę. To jest bulwersowanie pojęć z a s t a n y c h, co uczynił ten chłopiec swoim przemówieniem. Bo to także było przemówienie, kiedy mówił o możliwościach ludzkich; dla nas, ludzi zdrowych, z naszymi psychonerwicami się obnoszących po przełomie XX wieku jak z chorobą — przemówienie zawstydzające; dla nich — ludzi ograniczonych ułomnością — zachęcające tylko do wiary w siebie i w otoczenie. W tym nierównym starcie po dojrzałość czai się największa antynomia ludzkości; jednym się po prostu nie bardzo chce — drudzy za wszelką cenę muszą. I co najsmutniejsze, ci, którym się nie bardzo chce litują się nad tymi, którzy z wysiłkiem muszą — podczas gdy obiektywnie, to oni właśnie są bardziej godni pożałowania.

Świetnie się stało, że chłopiec mówił w bloku programów młodzieżowych, jaki co wtorek serwuje młodym telewizja i co wtorek czyni to bardziej udanie, sięgając po tematy kontrowersyjne, odważne. Nic nie ujmując bowiem rozrywce i niestrzyżonym, śpiewającym chłopakom, którzy mnie, odkąd owa niechlujna moda nastała — drażnią niepomiernie, Telewizyjny Ekran Młodych bodaj trochę stara się zachować proporcje. Nie było winą jego realizatorów, że ociemniały chłopak przechylił proporcje na rzecz pracy prawdziwej, że w kontekście z jego wysiłkiem koncerty kameralne przy świeczkach i kawie — przegrany pomysł urodziwej dziewczyny z Zamościa, zdały mi się tyleż jałowe, co pretensjonalne i trzeba było dopiero dwojga młodych bohaterów, którzy uratowali od śmierci ojca z dwojgiem dzieci, by te proporcje ponownie wróciły do równowagi i by bohaterstwo równało się bohaterstwu.

Mamy dobrą, wspaniałą młodzież — ta opinia zaczyna przeważać i to też dobrze, bo nielubiani bywają z reguły coraz gorsi — ale nie mamy zbyt wielu wspaniałych przykładów z dnia dzisiejszego, które by można na nią nakładać i traktować jako wzorce.

Powiesz — ociemniały chłopiec nie może być przykładem, wzorcem? Oczywiście, że nie w warstwie sytuacyjnej, gdzie niedomogi fizyczne pozostają w rażącej sprzeczności z kwitnącym na ogół zdrowiem nastolatków; ale czy upór, dojrzałe rozeznanie istotnych wartości życiem powodującym, czy wytrwałość, odwaga znoszenia ułomności, czy wreszcie wiara w wiedzę, która zezwala na rozbudowanie życia psychicznego, refleksyjnego, słowem — czy ta wielka dawka optymizmu — ośmieszająca rodzimych hippies i profesora filozofii, czyli znanego piosenkarza, który wywrzaskuje, że dziwny jest ten świat i udziwnia go jeszcze bardziej swoim wyglądem — nie oszołomi odkryciem, że niewiele jeszcze zaczęli, sprawdzili, dotknęli, by już czuć się obcymi, sfrustrowanymi w świecie właściwie im nieznanym?

Tak i choć milczenie moje zawsze oznacza na ogół świadomą niechęć do rozmowy wszelkiej i choć wszyscy tę niechęć znamy, przechodzimy przez nią jak przez dolegliwości wirusowe oraz nie zawsze zaradzić jej potrafimy — życie lubi gotować nam niespodzianki i wpędzać w gadulstwo nawet, gdy coś nas olśni, wzruszy, oszołomi. Gdy po prostu mamy czym się dzielić z drugim człowiekiem. Mówię Ci przeto serdeczne do widzenia, daleka, przynajmniej dziś wszelkim przerażeniom nad ułomnością ludzkiej natury.

KRYSTYNA

Diablik pomieszał daty

Szanowna Redakcjo!

W jednym z poprzednich numerów „Widnokręgu" (nr 45 z dnia 8. XI 1969 r.) ukazała się notatka pana Tadeusza Szeteli z Dobrzechowa dotycząca informacji zawartej w przewodniku turystycznym po województwie rzeszowskim, odnośnie do której jako autor przewodnika pragnę uprzejmie przedłożyć swoje wyjaśnienie.

Pan Szetela w notatce pt. „Diabeł i diablik" porusza sprawę dotyczącą daty i miejsca śmierci osławionego „Diabła łańcuckiego". Powołując się na znane dzieło Wacława Łozińskiego „Prawem i lewem", pisze, że Stadnicki zginął 20. VIII. 1610 r. w potyczce pod wsią Tarnawa koło Dobromila.

Natomiast w dziale „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego", tom XII, str. 207, pod hasłem TARNOWIEC, pow Jasło, jest zamieszczona następująca informacja, cytuję:

„Tu 14 sierpnia 1610 roku Stadnicki Stanisław, zwany Diablem, z czeredą awanturników i opryszków różnoplemiennych, stoczył bitwę z ludźmi nieprzyjaznego sobie Łukasza Opalińskiego, marszałka koronnego i Anny ks. Ostrogskiej. Około 6 000 ludzi walczyło. Stadnicki poległ z 50 ludźmi, reszta poszła w rozsypkę".

Na temat powyższego wydarzenia pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jedną informację z książki znanego krajoznawcy dr Mieczysława Orłowicza. Autor ten w przewodniku po Galicji wyd. w 1914 r. pisze:

„Tarnowiec, miejscowość wsławiona śmiercią Diabła Stadnickiego z Łańcuta w walce z wojskiem Łukasza Opalińskiego 14 sierpnia 1610 r."

Pan Szetela ma rację odnośnie do roku śmierci Stadnickiego, istotnie winien być rok 1610, a nie 1614. Tu wkradł się błąd korektorski, których w moim przewodniku jest niestety więcej. Mając tak poważne dzieła i dwie różne wersje tych samych wydarzeń musiałem wybrać jedną. Oczywiście z wielu względów bardziej odpowiadała mi ta, którą podałem.

Pan Szetela powołując się na nowe wydanie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej podaje również jeszcze inne miejsce śmierci Stadnickiego, a mianowicie wieś Tarnowiec koło Łańcuta. Tę wersję spotyka się również w literaturze z dawniejszych czasów, wymienia ją np. Encyklopedia Powszechna z 1866 r., tom XXIII, str. 939.

Istotnie, diablik w moim przewodniku pomieszał częściowo daty, ale miejsce śmierci podałem w oparciu o wiadomości zaczerpnięte z dostępnej mi literatury. Mimo że znane mi było dzieła Łozińskiego, jako autor miałem jednak pewne prawo wyboru źródeł, z czego skorzystałem. Mnie też gnębiły pewne wątpliwości, które wiadomości są właściwe. Nie mam obowiązku analizować racji poszczególnych autorów, zresztą wcale tego trudu nie chciałem sobie zadawać. Uważam, że Stadnicki to nie żadna wielka figura historyczna godna toczenia boiów o miejsce jego śmierci w niemal 400 lat po tym wydarzeniu. To moim zdaniem jedynie pewnego rodzaju ciekawostka związana z przeszłością obecnej Rzeszowszczyzny i dlatego też dokonałem takiego wyboru.

Z poważaniem

Stanisław Kłos

Prelekcje o 25-leciu PRL

Z ramienia Rady Naukowej i Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej przebywał w Czechosłowacji dr **Tadeusz Stanisz**, pracownik WSP w Rzeszowie.

Celem pobytu — na zaproszenie Akademii Socjalistycznej (odpowiednik naszego TWP) było nawiązanie kontaktu z bratnią instancją i wygłoszenie kilku prelekcji o 25-leciu PRL; zostały one przeprowadzone w Karlowych Warach i Kromieryżu.

Emilian Bliźniak

LUDZIE SPOD ZNAKU BIAŁEJ LASKI

Założenie 185 lat temu w Paryżu przez Walentego Haüy pierwszej w historii światowego szkolnictwa — szkoły dla ociemniałych było wydarzeniem ogromnej wagi, które by można z powodzeniem postawić w jednym szeregu obok wielkich odkryć naukowych, gdyż stanowiło to bez wątpienia punkt zwrotny w historii smutnego życia wielu tysięcy ludzi niewidomych, którzy znajdowali się w wielu krajach jak gdyby poza nawiasem własnego społeczeństwa. Niewidomi, niewidzący nic prócz wiecznie otaczającej ich nocy słyszeli dotąd wyłącznie szyderstwa ze swego kalectwa. Opuszczeni, bez zajęcia, trudniący się najczęściej żebraniną, nieszczęśliwi ci ludzie, pozbawieni dostępu do oświaty i możliwości wyuczenia się jakiegokolwiek zawodu, który mógłby im dać środki utrzymania, żyli w skrajnej nędzy budząc w najszerszych warstwach społeczeństwa przekonanie, że ślepota upośledza jednocześnie zdolności umysłowe. Znalazł się jednak ktoś, kto był innego zdania i któremu nie był obojętny los tych nieszczęśliwych ludzi. Człowiekiem tym był wspomniany już wyżej francuski pedagog i językoznawca Walenty Haüy. On to właśnie, obserwując pewną ociemniałą dziewczynkę, która wraz ze swym widzącym bratem chodziła do szkoły i prosiła, by jej w wolnych chwilach czytywał książki, dostrzegł możliwość kształcenia niewidomych. Należało tylko opracować odpowiednią metodę i wynaleźć specjalne pismo. I tak doszło do założenia w 1784 roku pierwszej szkoły dla niewidomych. Początkowo mieściła się ona w mieszkaniu założyciela, a pierwszym uczniem był niewidomy szesnastoletni chłopiec Franciszek Leseur, którego Haüy zdołał nakłonić do nauki. Wyniki nauczania osiągnięte w oparciu o opracowaną przez siebie metodę, o których informował społeczeństwo poprzez odczyty, zwróciły uwagę Towarzystwa Dobroczynności i Francuskiej Akademii Nauk, dzięki ich pomocy pozwoliło temu cichemu dobroczyńcy ludzkości założyć nie tylko szkołę, ale także pensjonatu dla uczniów. Podstawowymi przedmiotami w szkole Haüya była nauka pisania i czytania. Pisać uczyli się niewidomi wodząc żelaznymi piórami po grubym papierze. Tworzyło się na odwrotnej stronie pismo wypukłe, które przy pomocy dotyku niewidomi mogli odczytać. W oparciu o tę samą zasadę przygotowywano drukowane teksty do czytania. Haüy uczył swoich wychowanków również geografii za pomocą mapy, której granice zrobione były z drutu oraz rachunków za pomocą specjalnie zaprojektowanych przez siebie aparatów. W szkole Haüya uczono jeszcze niewidomych muzyki oraz rzemiosła. Ta pożyteczna ze wszechmiar placówka upadła po 1800 roku po połączeniu jej z polecenia Napoleona z paryskim przytułkiem dla niewidomych. Pozbawiony kierownictwa, rozgoryczony i schorowany Haüy próbował prowadzić prywatny zakład pod nazwą „Musee des Aveugles", który po czterech latach na skutek braku środków i zrozumienia u odpowiednich czynników musiał zlikwidować. Nie znaczyło to jednak koniec idei Haüya. Wprawdzie nie przyniosła ona za życia większego znaczenia i majątku (zmarł w 1827 r. w zupełnym zapomnieniu i ubóstwie), niemniej jednak nie poszła na marne. Po jego śmierci; ideę Haüya, metody nauki i pomysły rozpowszechniono prawie we wszystkich państwach Europy. Idea ta przetrwała do naszych czasów. Dzisiaj dzięki Polsce Ludowej ponad 17-tysięczna rzesza niewidomych w naszym kraju może się uczyć i zdobywać zawodowe kwalifikacje w kilku specjalnie stworzonych dla nich szkołach. W Bydgoszczy, Krakowie i Laskach pod Warszawą istnieją szkoły o podstawowym, średnim i równocześnie zawodowym programie nauczania. Na terenie województwa rzeszowskiego szkoła specjalna dla niewidomych została zorganizowana w Przemyślu w 1951 roku przy Spółdzielni Inwalidów Niewidomych „Start". Przebywający w internacie uczniowie uczą się w ciągu 3 miesięcy zawodu szczotkarskiego, dziewiarstwa, robienia sznurów do żelazek i grzejników elektrycznych oraz kontynuują równocześnie naukę na szczeblu szkoły podstawowej, o ile oczywiście podstawowego wykształcenia nie posiadają. Po ukończeniu szkoły część absolwentów podejmuje pracę w macierzystej spółdzielni. Pozostali najczęściej pracują jako chałupnicy u siebie w domu.

I tak przygotowani do zawodu, otoczeni staranną opieką ze strony państwa, stają się niewidomi pełnowartościowymi obywatelami państwa i członkami społeczeństwa. Nie należy zapominać, że przecież większa część produkcji niewidomych spółdzielców z Przemyśla i rzeszowskich chałupników idzie wyłącznie na eksport. Obecnie niewidomi to wysoko kwalifikowani specjaliści z różnych dziedzin, pracujący niejednokrotnie przy obsłudze bardzo skomplikowanych agregatów. Nierzadko można ich spotkać również wśród słuchaczy na wyższych uczelniach. Dzięki systemowi Braille'a możliwa jest nauka na różnych kierunkach nauczania. Oczywiście jest to możliwe przy opanowaniu przez niewidomych znajomości pisma brajlowskiego. Prowadzi więc Polski Związek Niewidomych odpowiednią w tym kierunku propagandę. Najlepszym tego dowodem jest niżej cytowana odezwa władz związkowych do niewidomych:

„W kraju naszym, jak i we wszystkich cywilizowanych państwach setki, a nawet tysiące niewidomych z powodzeniem kończą szkoły podstawowe, średnie i wyższe. Zdobywają stopnie magistrów, doktorów, docentów, a nawet profesorów. Dzięki temu stają się wybitnymi działaczami w środowisku niewidomych i innych instytucjach czy urzędach państwowych. Mamy wśród nas wybitnych literatów, dziennikarzy, muzyków, a nawet rzeźbiarzy. Wielu niewidomych jest nauczycielami i wielu pracuje naukowo Pomyśl czy bez znajomości pisma brajlowskiego mogliby zdobyć wiedzę i wznieść się na takie wyżyny..."

Polski Związek Niewidomych prowadzi biblioteki, brajlowskie oraz wydaje około 10 różnych czasopism informujących o pracach naszej organizacji, o życiu niewidomych kobiet, ciekawe pisemka dla dzieci i młodzieży, czasopisma społeczno-kulturalne, muzyczne i inne fachowe oraz broszury specjalne. Wiele się można z nich dowiedzieć, wiele nauczyć"...

Odpowiednio prowadzona agitacja, daje doskonałe rezultaty, z dnia na dzień zmniejsza się wśród niewidomych ilość brajlowskich analfabetów. Mają niewidomi również swoje życie towarzyskie i kulturalne. Organizowane jest ono najczęściej w ramach Polskiego Związku Niewidomych i Polskiego Związku Żołnierzy Ociemniałych. Spotykają się więc niewidomi na terenie woj. rzeszowskiego (jest ich około 600 osób), na odczytach czy też organizowanych dla nich przez Związek imprezach kulturalnych. Warto tu nadmienić, że zespół estradowy istniejący przy Spółdzielni „Start" w Przemyślu, w ogólnopolskim konkursie zespołów spółdzielczych zajął zaszczytne II miejsce. Osobna wzmianka należy się tu aktywnej pracy Towarzystwa Koła Polskiego Związku Niewidomych w Rzeszowie, z jej przewodniczącym p. Ryszardem Kiełbasą na czele, tym bardziej godna podkreślenia, że odbywa się ona w niezmiernie trudnych warunkach lokalowych. Biuro Koła Powiatowego Polskiego Związku Niewidomych mieści się w prywatnym, jednopokojowym mieszkaniu. Tak więc 80-osobowa rzesza niewidomych z miasta i powiatu spotyka się i załatwia swoje sprawy w prywatnym mieszkaniu przewodniczącego. Władze lokalowe przyznały wprawdzie Związkowi mały lokal przy placu Wolności 1 (30 m kw.), ale został on decyzją Zarządu Głównego przeznaczony na siedzibę władz Okręgu, a Koło Powiatowe Polskiego Związku Niewidomych pozostaje nadal bez własnego lokalu. Trzeba im pomóc, aby piękna idea Haüya mogła się nadal w Rzeszowie pomyślnie rozwijać.

Foto: J. MENDYCHOWSKI

FILM FILM

NOWE SCENARIUSZE CESARE ZAVATTINIEGO

Na zaproszenie Związku Filmowców ZSRR przybył do Moskwy jeden z najwybitniejszych współczesnych dramaturgów filmowych, z którego nazwiskiem związane są nierozerwalnie narodziny i rozkwit włoskiego neorealizmu — Cesare Zavattini. Obecnie reż. De Sica nakręca w koprodukcji włosko-radzieckiej film „Słoneczniki" wg jego scenariusza. Występują w nim m. in. Sophia Loren i Marcelo Mastroianni.

— „Słoneczniki", to pierwszy przejaw mojej współpracy z radzieckimi kolegami — powiedział C. Zavattini w rozmowie z przedstawicielem „Litieraturnej Gaziety". — Jednak film ten to już dla mnie czas przeszły; De Sica kończy jego realizację. Obecnie pracuję nad dwoma scenariuszami, które uważam za niezwykle ważne. Oba poświęcone są problemom społecznym — w tym jeden rozwodom. Pisząc ten scenariusz próbuję odejść od głównego tematu i rozszerzyć wymowę przyszłego filmu, poruszyć w nim problem wolności jednostki w naszym społeczeństwie.

Bohaterem jednego z tych filmów będzie poeta. Tytuł scenariusza: „O pisaniu wierszy w przeddzień wojny". Opracowałem go w formie monologu młodego poety. Ludzkości grozi nowa wojna, co powinien robić w związku z tym poeta, czy ma w dalszym ciągu pisać wiersze, czy też szukać innych form protestu przeciwko zagładzie?

To nie jest bynajmniej odosobnione zjawisko, sprawa ta zajmuje dzisiaj wielu.

Nawet te nieliczne postępowe filmy, które dziś powstają we Włoszech — powiedział C. Zavattini — dławione są przez istniejący system rozpowszechniania. Także międzynarodowe festiwale filmowe służą — moim zdaniem — temu, aby kino pozostawało domeną elity, aby nie poruszało współczesnych problemów politycznych, a kamera nie była wykorzystywana jako środek walki rewolucyjnej.

KSIĄŻKI

Eugeniusz Wiślicz-Iwańczyk: ECHA PUSZCZY JODŁOWEJ. MON, s. 310, cena zł 16 (brosz.), zł 23 (płótno). (10 tys.).

Są to wspomnienia byłego szefa sztabu III Obwodu AL, który wcześniej był współorganizatorem organizacji „Świt". Weszła ona następnie w skład Armii Ludowej. Jeszcze jeden z rozdziałów historii ziemi kieleckiej. Żywa narracja.

Włodzimierz Iljicz Lenin: O OBRONIE SOCJALISTYCZNEJ OJCZYZNY. Przygotował do druku F. Czuchrowski. MON, s. 564, cena zł 24 (2 310).

Książka wydana z okazji setnej rocznicy urodzin W. I. Lenina opracowana została w oparciu o radziecki wybór pod takim samym tytułem. Są to ułożone w chronologiczny sposób wyjątki z prac, artykułów i przemówień wodza Października, poświęconych dziedzinie wojskowości. Ponadto wyjątki z innych prac omawiających zagadnienia marksizmu.

Wilhelm Szewczyk: DZIKIE WINO. Wyd. Poznańskie, s. 192, cena zł 14 (10 tys.).

Jest to powieść społeczno-obyczajowa wykorzystująca realia życia NRF. Jej bohaterem jest Polak, który szuka w Niemczech Zachodnich wyimaginowanej wolności. Prawie sensacyjna akcja.

Wilhelm Szewczyk: OKULARY Z FIRMY BRAUXEL AND Co. Wyd. Łódzkie, s. 192, cena zł 10 (3 tys.).

Są to szkice literackie poświęcone głównie literaturze zachodnioniemieckiej. Były drukowane w czasopismach.

Andrzej Przypkowski: GDY WRÓCISZ DO MONTPELLIER... MON, s. 260, cena zł 15 (10 tys.).

Znamy już tego autora z powieści mówiących o udziale Polaków w Ruchu Oporu we Francji. Również i omawiana pozycja w retrospekcji wraca do tego okresu i zagadnienia. Obyczajowa powieść o sensacyjnym wątku.

Melchior Wańkowicz: OD STOŁPCÓW PO KAIR. Wybór, układ i przypisy Stefana Kozickiego. PIW, s. 676, cena zł 50 (20 tys.).

Reportaże tu zawarte odnoszą się do czasów przedwojennych, aby przez okres Września, okupacji, pobytu na Bliskim Wschodzie omówić pola bitew, dolę emigranta. Także o powrocie do kraju. Ciekawy wybór.

Hermann Kesten: KRÓL FILIP II. JA — KRÓL. Przeł. M. Wisłowska. PIW, s. 604, cena zł 44 (20 tys.).

Jest to ostatnia część anonsowanej już wcześniej hiszpańskiej trylogii Kestena. Część pierwsza nosiła tytuł: „Maur z Kastylii", druga: „Ferdynand i Izabela". Okres panowania Filipa II. Konflikt tyranii i wolności. Portret cynicznego i brutalnego samowładcy.

Stanisław Grochowiak: TOTENTANZ IN POLEN. PIW, s. 36, cena zł 12 (4 tys.).

W czasie gromadzenia materiałów do powieści „Trismus" znalazł Grochowiak wydany w Hamburgu w 1940 roku poetyczny reportaż — pamiętnik niejakiego Wilhelma Petersena, zapewne korespondenta wojennego i rysownika. Ten niemiecki dokument „Taniec śmierci w Polsce" drukowany na każdej lewej stronie tej książki koresponduje z poematem Grochowiaka. Również autentyczne rysunki.

Borys Reizow: FRANCUSKA POWIEŚĆ HISTORYCZNA W EPOCE ROMANTYZMU. Przeł. P. Hertz. PIW, s. 678, cena zł 70 (1 500 egz.).

Specjalistyczna to raczej pozycja omawia niektóre utwory Chateaubrianda, Alfreda de Vigny, Balzaka, Merimée.

Ostap Ortwin: O WYSPIAŃSKIM I DRAMACIE. Oprac. i szkicem biograficznym opatrzyła J. Czechowska. PIW, s. 476, cena zł 60 (3 000 egz.).

Łączy się z setną rocznicą urodzin twórcy „Wesela".

KSIĘGA HUMORU POLSKIEGO. **Od Kasprowicza do Tuwima.** Wyd. Łódzkie. Wybór tekstów: T. Chróścielewski, H. Karwacka. E. Kozikowski. Przyp. T. Chróścielewski, Z. Spieralski, s. 704, cena zł 90 (10 tys.).

Czwarty to chyba opasły tom zawierający anegdotę, wierszyk, paszkwil polityczny czy inny humorystyczny gatunek literacki. Założeniem jest rozrywka. Co się autorom wyboru udało.

Nowości Wydawnictwa Rolniczego i Leśnego

Philip E. Hartman, Sigmund R. Suskind: DZIAŁANIE GENÓW. Przeł. H. Gutowska, s. 200, cena zł 30 (3 tys.).

R. J. Williams: INDYWIDUALNOŚĆ BIOCHEMICZNA. **Podstawy teorii genetotrofii.** Przeł. J. Piotrowski, s. 248, cena zł 35 (2 tys.).

Jan Gieżyński: SZKOLENIE PSÓW MYŚLIWSKICH I OBRONNYCH. s. 292, cena zł 30 (20 tys.).

Z. Anusz: HIGIENA MLEKA. Wyd. III uzup., s. 98, cena zł 7 (30 tys.).

Michał Batalin: WAPNOWANIE. Wyd. II uzup., s. 47, cena zł 4 (25 tys.).

Maksim Zaks: GRUCZOŁ MLECZNY ZWIERZĄT I CZŁOWIEKA. Nerwowa i hormonalna regulacja rozwoju czynności. Przeł. J. Piotrowski, s. 275, cena zł 40 (2 tys.).

Witold Pruski: HODOWLA ZWIERZĄT GOSPODARSKICH W KRÓLESTWIE POLSKIM W LATACH 1815—1918. T. III. Okres 1899—1918, s. 585, cena zł 90 (3 tys.).

● POLEMIKI ● DYSKUSJE ● KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE

Głosy w dyskusji o kulturze studenckiej

W obliczu alternatywy

Mimo oporów, z których najsilniejszy wynikał z obawy, iż nie podołam podjętemu tematowi, postanowiłem przyłączyć się swymi nieśmiałymi uwagami (śmiały jestem tylko na polu nauk ścisłych, w których się specjalizuję).

Ustosunkuję się najpierw, w formie luźniejszych refleksji — do wypowiedzi moich poprzedników: p. p. Romera i Wojnara, a szczególnie tego drugiego.

Wezmę na warsztat parę cytatów z artykułu Tadeusza Wojnara „Nie samym chlebem..." (Widnokrąg nr 46).

„Nie przeprowadza (R Romer — przyp. mój) bowiem choć usiłuje to zrobić, wyraźnej granicy między działalnością kulturotwórczą studentów i oddziaływaniem na życie kulturalne Rzeszowa, a ukulturalnieniem samego środowiska akademickiego — a to są dwie różne sprawy".

Owszem, są to dwie różne sprawy. Jeśli jednak autor pozostaje usatysfakcjonowany takim truistycznym i nader płytkim rozstrzgnięciem, nie fatygując się potraktować skomplikowanych zagadnień chociaż dwoma zdaniami, które „zarysowałyby" jego pogląd subiektywny, to jest to t y l k o znów: „wsadzenie kija w mrowisko".

Wojnar, uzupełniając niedostatki artykułu Romera, przeprowadza podział na:

— działalność kulturotwórczą studentów i oddziaływanie na życie kulturalne Rzeszowa,

— ukulturalnienie samego środowiska akademickiego „Wyraźna granica" czyni ten podział nie tylko sztucznie dychotomicznym, ale co gorsza — nie posiada logicznego kryterium podziału. Stąd chaos i nakładanie się zakresów nazw i pojąć. Chaos wynika między innymi stąd, że p. Wojnar miesza „działalonść kulturotwórczą" z jej funkcją: „oddziaływaniem na życie kulturalne Rzeszowa, a... „to są dwie różne sprawy" czy jak kto woli, „dwa końce tego samego kija". Zresztą, zamiast szczegółowej krytyki i analizy błędów (w moim odczuciu), przedstawię swoją kontrpropozycję podziału (jeśli już tak się uwzięliśmy na klasyfikację — chorobę naszej nauki, która wszystko stara się klasyfikować i oddzielać od siebie) działalności studentów, bo sądzę, że w ten sposób będę bardziej „kulturotwórczy".

Biorąc pod uwagę aktualnie podaną przez Wielką Encyklopedię Powszechną definicję i historyczny rozwój pojęcia kultury, czynię podział działalności studentów ze względu na jej cele i efekty na:

— działalność twórczą,

— działalność konsumpcyjno-kształceniową.

Uważam, że każda działalność twórcza jest „kulturotwórczą", dlatego nie widzę potrzeby tworzenia dodatkowych „tasiemcowych" nazw. Natomiast w drugim rodzaju działalności mieści się „ukulturnianie samego środowiska akademickiego", gdyż działalność ta polega na poznawaniu i utylizowaniu już gotowego dorobku ludzkości, czyli na przysposabianiu do wyższej formy działalności ludzkiej — aktu twórczego; czyli na tworzeniu bazy twórczej.

„...dziś, w auli, o godzinie..., odbędzie się odczyt na temat..., obecność studentów obowiazkowa..."

Takich ogłoszeń nie czytałem nawet... na rzeszowskich wyższych uczelniach. Jeśli ogłoszenie zawierało jakikolwiek komentarz, to sprowadzał się on do następującego lapidarnego: „Serdecznie zapraszamy", i sądzę, pozostawiał całkowitą swobodę wyboru.

„Trudno kogoś zmusić do udziału np. w odczycie, który go nie interesuje, w dodatku, gdy prelegent niewiele ma do powiedzenia, a na pytanie nie potrafi znaleźć właściwej odpowiedzi, względnie posiada duży zasób wiedzy, ale trzeba go słuchać ze słownikiem wyrazów obcych w ręce".

Najpierw zawarty jest w tym zdaniu wyraźny paszkwil na prelegentów, którzy występowali do tej pory na rzeszowskich uczelniach. Nie spotykano się, choćby na WSP, z sytuacjami, w których by prelegent wykazał nieznajomość „rzeczy", a poza tym, trzeba Panu wiedzieć, p. Wojnar, że nie na wszystkie pytania można odpowiadać „właściwymi odpowiedziami" i to w dodatku na pytania studentów. Niedoskonałość ludzka z góry skazuje nas na bardzo skromną wiedzę o otaczającym świecie. Słyszał Pan chyba o paradoksalnych z pozoru sytuacjach, w których np. wybitny matematyk odpowiadał wybitnemu matematykowi: „Ja się na tym nie znam", bez cienia zażenowania lub skruchy, mimo iż pytanie dotyczyło par excellence matematyki. We współczesnym świecie specjalizacja ludzka jest bardzo wąska i jest to konieczność uzasadniona, a nie godna ubolewania. Poza tym nie docenia Pan studentów, którzy, proszę mi wierzyć, korzystają dość często ze słownika wyrazów obcych, więc na prelekcjach nie muszą.

„Młodzież opuszczająca szkołę średnią nie jest przyzwyczajona do toku pracy wyższej uczelni. Chęć solidnego przygotowania się do ćwiczeń czy seminariów, przy niezbyt korzystnym rozkładzie zajęć (zajęcia w godzinach popołudniowych i wieczornych), stracie czasu na dojazdy z domu studenckiego do uczelni, wystawanie w kolejkach w stołówce studenckiej powodują niejednokrotnie, że świeżo upieczony student nie ma czasu na odpoczynek, nie mówiąc już o koncertach symfonicznych czy odczytach".

Tu leży pies pogrzebany. Należałoby to jeszcze wyostrzyć. Nie „chęć solidnego przygotowania się" do zajęć, ale o b o w i ą z e k. Nie „brak czasu na odpoczynek", ale nawet brak czasu na wywiązanie się z tego obowiązku". Jednak p. Wojnar i jego adwersarz nie doszukują się w tym istoty rzeczy, lecz błądzą po omacku, zagrzebani w konsekutywnych problemikach studenckich. Zasadniczy problem, który rodzi alternatywę: „solidnie studiować, czyli spełniać swój podstawowy obowiązek, albo... „ślizgać się" przez studia i rozwinąć skrzydła fantazji kulturotwórczej" jest przez obu potraktowany marginesowo. Szczegóły przysłaniają im sedno sprawy.

Jeśli chcemy znaleźć przyczynę „sennej atmosferki" środowiska studenckiego, to najpierw zapytajmy, czy studenci nie są senni z przemęczenia, autentycznego — ludzkiego przemęczenia. Aby wyzwolić drzemiącą w młodym człowieku inwencję twórczą i zaangażować go w sferę twórczego działania, a tym samym wyrwać go ze sfery bezkonfliktowej konsumpcji, należy najpierw stworzyć mu... czas wolny od obowiązkowych zajęć i obowiązkowego, solidnego przygotowywania się do nich. Roztrząsany w prasie i będący przedmiotem naukowych rozważań „problem czasu wolnego" nie jest aktualny ani palący w środowisku rzeszowskich studentów.

Ktoś mógłby to próbować obalić uwagą, że nie tylko na rzeszowskich uczelniach studenci mają obowiązek solidnego studiowania. Weźmy jednak pod uwagę specyfikę naszego środowiska, które boryka się z wieloma podstawowymi brakami, jak np. zbyt skromnie wyposażona biblioteka. Nierzadkie są przypadki, gdy w czytelni lub wypożyczalni rozgrywa się dramatyczna walka o... jedyny egzemplarz jakiejś lektury. Zasięgamy języka: cóż to za ważna lektura obowiązkowa? Okazuje się, że jest to trzeciorzędnej wartości „wypocina" czwartorzędnego autora, którego niespodziewanie jakiś młody Adept Nauki próbuje na własną rękę nobilitować. I tu dobrnęliśmy do nie mniej istotnego zjawiska — symptomatycznego dla rzeszowskiego środowiska akademickiego. Jest to mianowicie zjawisko przerzucania ciężaru zadań z aspektu jakościowego (trudności w wyposażeniu i braki wysoko kwalifikowanej kadry naukowców — młode, rozwijające się środowisko naukowe) na ilościowy. Na przykład asystenci WSP prowadzący ćwiczenia postępują tak, jakby chcieli „zarzucić" studentów znajomością... bibliografii (może chcą w ten sposób pokryć braki w autentycznej wiedzy przedmiotowej — jest to tylko przypuszczenie), która polecają w ilościach przekraczających zdrowy rozsądek. Jeśli jest Przedmiot „Wybrane zagadnienia z..." to niech to będzie wybór najciekawszy, najbardziej wartościowych, reprezentatywnych dla danego okresu czy kierunku pozycji — takich na pewno nie będzie za wiele.

Moi oponenci, czyli zwolennicy aplikowania jak najobszerniejszej wiedzy, bez wnikliwej selekcji — kosztem zdrowia studentów, którzy więcej denerwują się niż uczą, przerażeni ogromem materiału do opanowania — zapewne oburzą się tym, co teraz wypowiem.

Otóż wydaje mi się, że wziąwszy pod rozwagę ciągle powiększający się zasób wiedzy ludzkiej, z której nawet najwęższych specjalności nie sposób opanować w całości, należy zmniejszyć zakres wymagań pod względem ilości wiedzy opanowanej pamięciowo — w najbliższej przyszłości zastąpią i odciążą nas w tym względzie maszyny, które mogą mieć pamięć i chłonniejszą i pewniejszą — a zwiększyć wymagania „jakościowo". Niech się coraz częściej zdarza, że studenci nie potrafią wymienić drugoplanowych wątków z podanej lektury (jest to ponoć sprawdzian przeczytania lektury), ale za to z łatwością wnikają w sedno sprawy, wyszukują istotę rzeczy, analizują i dokonują syntezy, wyciągają twórcze, nowatorskie sentencje i wnioski. Niech na ocenę dostateczną wystarczy ilość nie poparta jakością, a na oceny wyższe, minimalna, ale oczywiście w granicach ustalonej normy, ilość „ubarwiona" świeżością i bystrością umysłu.

Ponieważ odczuwam obawę, iż mogę być źle odczytany, śpieszę z wyjaśnieniem. Nie zamierzałem w powyższych zdaniach domagać się „zaniżania poziomu" wymagań na rzeszowskich WSP i WSI. Pragnąłem tylko zwrócić uwagę na błędną metodę, którą nasze uczelnie dążą do „podwyższenia poziomu". W najmocniejszych ośrodkach akademickich Polski i na świecie od dawna działalność oświatowo-edukacyjna jest ukierunkowana i stawia sobie jako cel: „przede wszystkim uzbroić swych absolwentów w jak największą ilość metod babawczych i umiejętności korzystania z literatury, by mogli w przyszłości łatwo, przez całe życie kontynuować skutecznie samokształcenie. Oczywiście, jest tam miejsce i na ilość wiedzy, jednak ilość ta jest dawkowana racjonalnie i okrajana do koniecznego minimum, bo wszyscy na świecie ludzie doskonale sobie zdają sprawę z tendencji wysiłków ludzkich, których ostatecznym celem jest wyrażenie otaczającej rzeczywistości za pomocą „jednego równania matematycznego" — pojęcie całej prawdy, ale w syntetycznym, nadającym się do strawienia przez umysł ludzki kształcie.

Sądzę, że jeśli polityka władz naszych uczelni uwzględni te narzucające się uwarunkowania rozwijającej się rewolucji naukowo-technicznej, to twórcze środowisko studenckie, którego dzieła promieniować będą nie tylko na najbliższe środowisko, ale na całą Polskę, będzie samorodnym wynikiem tych przemian.

KONRAD EGON
Rzeszów

Jednak Kantemir

W „Życiu Literackim" (nr 47 z 23. XI 1969 r.) znalazła się notatka wytykająca dwa błędy w moim artykule pt. „Tatarski książe i pan na Rzeszowie" w „Widnokręgu" nr 42/69. Autor notatki poddał w wątpliwość moje kwalifikacje historyka-felietonisty. Nie wiem, jakie kwalifikacje posiada autor notatki w tej materii, przypuszczam jednak, że wysokie, skoro krytykuje innych, jakkolwiek nie udało mi się, mimo iż z zainteresowaniem śledze wszystkie ukazujące się publikacje historyczne, napotkać rozprawę naukową podpisaną nazwiskiem redaktora Żywociku. Być może, ocena mego felietonu byłaby surowsza, ale przynajmniej nie gołosłowna. „Littera nocet, littera docet". Nie wiem, jakich „starych historyków" ma autor notatki na myśli, ale sądzę, że nie zaszkodziłoby mu poczytać paru nowszych opracowań. Prof. Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu Janusz Pajewski w swojej książce pt. „Buńczuk i koncerz" doskonale napisanej, cały czas używa imienia KANTEMIR, a nie Kantymir, jak tego chce autor notatki. Tak samo cytowany w moim felietonie Kazimierz Gliński pisze o KANTEMIRZE, a nie o Kantymirze. Nie ma więc co rozdzierać szat i dowcipkować na temat moich rzekomych „weryfikacji historii, czy coś w tym rodzaju". Co zaś do mego zwrotu użytego w felietonie: „...Rozpoczął też budowę zamku"., to rzeczywiście — wprowadził on do artykułu pewną niejasność, ale nie nieścisłość historyczną, a to zawsze można początkującemu publicyście wybaczyć. Chociaż — napisałem wyraźnie, że Spytek najpierw zaczął budować zamek, a dopiero potem strzelała do Tatarów zamkowa artyleria, a nie odwrotnie, jak insynuuje mi to autor notatki. Wydaje mi się, że zamek nawet w trakcie budowy również może służyć celom obronnym, zwłaszcza jeśli posiada usypane wały i strzelnice w murze, a nieprzyjaciel już jest ante portas. Tak więc autor notatki wzbogacając mój artykuł o odkrywcze stwierdzenie o chytrej naturze Tatarów sam się przechytrzył. Przykro mi, że zmuszony był on przeczytać mój artykuł i nic na tym nie skorzystał. Ale widocznie taki to już gorzki chleb redaktora Żywocika. Pragnę więc dać mu małą satysfakcję. Otóż jest w moim artykule błąd, którego mój szanowny a złośliwy oponent, mimo ogromu posiadanej wiedzy historycznej, nie zauważył. Otóż mowa tam o niejakim Stefanie Chmielnickim. Takiego w bitwie pod Martynowem nie było. Był natomiast Stefan CHMIELECKI. Ale pan redaktor wybaczy — w tym wypadku zawinił chochlik drukarski, który widocznie znudzony lekturą Żywocika złożył kurtuazyjną wizytę na łamach sympatycznego „Widnokręgu".

Łacze pozdrowienia
RYSZARD DZIESZYŃSKI

Sympozjum — *dyskusja*

(Ciąg dalszy ze str. 3)

kania, które mówi rzeczy stare i prawdy stare ale czyni to w sposób przekonywający. To jest główna zdobycz spotkania. Ponadto trzeba będzie podtrzymać przymierze młodych pisarzy KKMP z twórcami ludowymi. Będziemy po tym sympozjum w Warszawie proponować Radzie Krajowej KKMP, by się tą sprawą zajęła i żeby współdziałała ze Stowarzyszeniem Twórców Ludowych. Racje, które padały z ust pisarzy ludowych są absolutnie przekonywające.

Gdy Pan Roman Turek mówił, że jest właściwie trochę nieudanym rzemieślnikiem i trochę nieudanym pisarzem pomyślałem sobie, że znam wielu pisarzy ogromnie przygotowanych, którzy mają nieudane książki — takie, których nie da się lubić. W związku z tym kończę życzeniem byśmy wszyscy pisali książki udane, takie, które można kochać.

FRANCISZEK BŁOŃSKI: Ja zabieram głos jako odbiorca twórczości pisarzy ludowych, nie tylko zresztą pisarzy ale także malarzy i rzeźbiarzy. To jest cała dziedzina piękna i interesująca, którą my pracownicy muzeum chcielibyśmy widzieć w naszych zbiorach, aby udostępnić i pokazywać szerokiemu ogółowi społeczeństwa. Jako ten właśnie odbiorca chciałem wyrazić serdeczne podziękowanie organizatorom tego dzisiejszego spotkania. Cały program tego spotkania był niezmiernie interesujący, na wysokim poziomie. Referat pana Gołębiowskiego był referatem socjologa, badacza naukowego, który w swoich wypowiedziach posługiwał się językiem naukowym, a więc precyzyjnym, przekazującym nam w umiejętnie zestawionych pojęciach, na podstawie głębokich przemyśleń, jak sytuacja pamiętnikarstwa się przedstawia z punktu widzenia naukowego. Drugi referat pana Grada jako krytyka i wydawcy, również niezmiernie interesujący, ukazywał różne formy twórczości ludowej i pozycje jaką ona zajmuje w naszym dorobku artystycznym i literackim. Referat kolegi Zygi, jako historyka literatury, także dał dużo materiału konkretnego i ten materiał, gdyby był opublikowany stanowiłby pożyteczne kompendium dla tych, którzy tym zagadnieniem się zajmują. Referat ostatni przedstawił twórczość jednego z tu obecnych pisarzy ludowych.

Chce kilka słów powiedzieć o wystąpieniach tych wszystkich drogich nam i znanych pisarzy ludowych z terenu województwa. Ta forma wystąpienia może zaimponować nawet działaczom politycznym, którzy często występują i przemawiają. Przemawiali w znakomitym języku, w znakomitej formie literackiej — były to wypowiedzi na najwyższym poziomie. A przecież były to wystąpienia ludzi, którzy wyszli z ludu, nie studiowali na żadnych wyższych uczelniach. Na zakończenie chce jeszcze raz wyrazić uznanie organizatorom tego spotkania, które spełniło swoje zadanie i nam pracownikom muzeum przysporzy trochę pracy, którą chętnie służymy.

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI: Ja również jestem osobiście bardzo zadowolony, że przyjechałem jakkolwiek koledze Kubasowi dość długo odmawiałem, po prostu nie miałem czasu. Ale jestem zadowolony przede wszystkim dlatego, że doszło tu do spotkania młodoliterackiego ruchu KKMP-owskiego z ruchem Stowarzyszenia Twórców Ludowych. To jest ważne, istotne z każdego punktu widzenia. Powinniśmy mieć pewne wspólne cele i wspólne płaszczyzny. Nawiązałbym jednak do tego co mówił tu kolega Grad. Mniej mówmy o tych sprawach w kategoriach superlatywów i pochwał, mówmy coraz częściej krytycznie. Powstanie samego ruchu wywołało pewne, marginalne jeszcze, wynaturzenia. Tworzą się żelaźni pamiętnikarze, są pamiętnikarze, którzy tworzą nam fikcje i przysyłają do Instytutu. Stworzyły się już pewne konwencje pamiętnikarskie. Musimy na cały ruch patrzeć obiektywnie, krytycznie. Tak samo zresztą musimy patrzeć krytycznie na cały ruch twórczości zarówno KKMP jak i pisarzy i twórców ludowych. Maksymalistyczne postulaty wydawania wszystkiego są po prostu nierealne. Muszą być zachowane pewne proporcje wydawnicze. Tylko rzeczy najlepsze, wyselekcjonowane, przedyskutowane należałoby wydać, resztę zachowując w rękopisach jako dokument czasu i materiał do badań naukowych.

Bardzo popieram propozycję, która tu padła wydawania wyborów antologii dla szkół, dla młodzieży i nauczycieli. W takich antologiach najlepszych utworów pisarstwa ludowego zrealizuje się idea łączności między pokoleniami.

MIECZYSŁAW GRAD: Wypada mi powiedzieć parę słów, gdyż padło tu sporo uwag pod adresem wydawców. Chciałbym poinformować w odniesieniu do tego co kol. Żyga powiedział w swoim referacie, że LSW przerwała wydawanie Biblioteki Dawnych Pisarzy Chłopskich. Planujemy wydać w najbliższych latach kilkutomową antologię całej dotychczasowej literatury ludowej w opracowaniu naukowym. To jest jedna nasza inicjatywa. Niezależnie od tego rozpoczęliśmy wydawanie co roku dwóch pozycji poświęconych współczesnym poetom ludowym. Będą to zbiory wierszy o sprawdzonym niewątpliwym poziomie artystycznym. Rozpoczynamy od tomiku Hanki Nowobielskiej. Przystępujemy także do odrobienia pewnych zaległości jeśli chodzi o Rzeszowskie. Przygotowujemy do druku książkę Franciszka Kotuli i interesujemy się również pozostałymi materiałami, o których doc. Kotula tu mówił.

(Następnie prezes LSW poświęcił sporo uwagi propozycjom, które padły w czasie obrad sympozjum zachęcając do konkretnych i zorganizowanych inicjatyw wydawniczych naukowców, literatów i dziennikarzy rzeszowskich przy poparciu władz województwa i powołanych do tego instytucji. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza deklaruje pełną gotowość do finalizowania wydawniczego tego rodzaju propozycji, jeśli będą one dojrzałe. Można by także wypracować w ramach jakiegoś regionalnego towarzystwa kulturalnego formy mecenatu i współdziałania z ruchem twórców, pamiętnikarzy i pisarzy ludowych jako nurtem także społeczno - kulturalnym. Mówił także o tym, jak wygladają kłopoty i trudności wydawnicze rzeszowskich twórców ludowych m. in. Romana Turka i Jana Stryczka od strony wydawcy, stwierdzając, że zasadniczym czynnikiem, który może pomóc chłopskim pisarzom jest rzeczowa, konsruktywna krytyka uświadamiająca im nie tylko osiągnięcia, lecz także i słabości, błędy nieuniknione w procesie twórczym. Podkreślał, iż koniecznie trzeba znaleźć jakąś formę częstszego spotykania się ludowych twórców może na kształt obecnego sympozjum lecz bardziej seminaryjna, analityczna, pomagająca im uświadomić sobie potknięcia i mielizny ich pisarstwa).

(Fragmenty wypowiedzi uczestników dyskusji na sympozjum poświęconym pisarzom i pamiętnikarzom ludowym Rzeszowszczyzny).

Opracował:

JAN GRYGIEL

Kartki dla Ewy

UBIÓR

Nie suknia zdobi człowieka, ale zalety serca i umysłu. Nim jednak jesteśmy w stanie dostrzec u bliźnich owe bogactwa wnętrza, chętnie patrzymy na szatę zwierzchnią. Nie bywa nam obojętna jakość wełny, skór i jedwabiu, w które odziany jest obiekt zainteresowań. Jeśli lustrując jego konfekcję stwierdzamy, iż posiada ona znak „Q" — nader często zdolni jesteśmy mniemać, że równie znakomite i nieskazitelne jest wnętrze właściciela.

Stosując powyższe oceny, jakże łatwo byłoby rozszyfrować świat. Każdy niechluj i brudas to typ spod ciemnej gwiazdy, każdy elegancik to chodzący ideał i wcielona moralność. Rzeczywistość bywa jednak bardziej skomplikowana. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze i mimo wielu doświadczeń, większość ludzi swój pierwszy sąd o człowieku wydaje na podstawie jego ubrania.

Kobieta w supermodnych spodniach i tunice nie wzbudzi zaufania, chyba że jest podporą kinematografii. Wtedy może sobie pozwolić na ekstrawagancje, bywa to nawet dobrze widziane. Te same spodnie na podporze sekretariatu szkolnego spowodują zgorszenie i mnóstwo komentarzy.

Mając na grzbiecie odzież o wieloletnim stażu, trzeba się liczyć z opinią skąpca i dusigrosza, który nawet kawy innym nie postawi, tylko narzeka na brak gotówki, choćby zarabiał krocie.

Najlepszy więc chyba jest złoty środek. MHD-owskie ubranko gwarancją prawego charakteru i oficjalnych dochodów. Lepiej się nie wystawiać pod języki pobratymców, mają ostre jak brzytwy i obedrą nimi człowieka do siódmej skóry.

Kwestia strojów zaprzątająca głowy wszystkim potentatom mody, setkom producentów, milionom krawców, mężczyznom i kobietom, które wyrosły z ery pieluszek jest mimo wszystko sprawą indywidualną. Człowiek powinien ubierać się przede wszystkim wygodnie i odpowiednio do warunków, w jakich żyje. Powinien pamiętać o tuszy, wieku, zasobach kieszeni, klimacie, estetyce, uczuleniach na sztuczne włókna i całym mnóstwie drobiazgów, o których projektanci zwykle nie myślą. Są bowiem przekonani, że świat zaludniają wyłącznie długonogie dziewczyny o idealnych wymiarach, na których każda szmatka leży wręcz rewelacyjnie.

W tym roku wyjątkowo wcześnie przyleciały pierwsze, modne jaskółki w postaci maxi-płaszczy. Przynajmniej raz nie wleczemy się w ogonie, ale fason choć praktyczny i ciepły, jeszcze długo będzie dyskusyjny. Po szaleństwach mini, odmrożonych kolanach i lumbago, chcą z nas zrobić prababcie okutane w przydługie salopki. Jak praktyka wskazuje, pewnie znów ulegniemy modzie i nie przeszkodzą temu najzjadliwsze szepty męża i tuzina przyjaciółek.

Od lat trwa niekończący się spór dla kogo ubierają się kobiety. Jedni twierdzą, że dla mężczyzn, drudzy, że dla innych kobiet, same zaś zainteresowane lansują przekonanie, iż stroją się wyłącznie dla siebie. Prawdy dotychczas nie ustalono i obawiam się, że jeszcze trochę na nią poczekamy. Jako kobieta jednak, skłaniam się ku twierdzeniu, że każda nowa rzecz w garderobie została nabyta wyłącznie pod presją posiadania. Kobiety bowiem cieszy ogromnie sam fakt pójścia do sklepu i możność wydania pieniędzy. Kobiety marzą czasem o absolutnym bublu, chcą go mieć za wszelką cenę, a kiedy zdobędą, wtedy myślą: jak olśnić drugą, jak wzbudzić zazdrość, jak spowodować komentarze, jak załatać budżet i komu wreszcie ten bubel opchnąć niby wielki rarytas.

Mężczyzna w tych skomplikowanych zabiegach nie liczy się zupełnie. W naiwności swej rzadko orientuje się w cenach i jakości materiałów. Rozróżnia na ogół płótno i wełnę, szkło i blachę. Tekstylne niuanse są dla niego tym, czym dla nas „sprzężenia zwrotne". A patrząc na kobietę widzi, poczynając od nóg całą sylwetkę. Może być ona korzystna lub nie, drobne szczegóły są zwykle niedostrzegalne. Niestety, tylko do czasu. Później wszystko przeszkadza. Nim jednak to nastąpi, trzeba kobietę poznać, zanalizować jej motywy działania, sposób bycia. Zwykle taka rzecz zupełnie się nie udaje. Kobieta zmienia charakter przeważnie razem z suknią, a z kapeluszem to już murowane. Któż by więc trudził się rozszyfrowywać jedną łamigłówkę, skoro w polu widzenia bywa tyle innych.

Dlatego pewnie mężczyznom wystarcza stwierdzenie: „ale fajna...". Kobiety są bardziej analityczne — „ładna, elegancka, inteligentna?" Ee. Wystarczy spojrzeć jak się ubiera! Istne straszydło!

BEGA

Wiktor Łącki — kierownik ZDK „Górnika-Naftowca" w Krośnie.

rys. J. SIENKIEWICZ

Utwór Pendereckiego w Meksyku

Narodowa Orkiestra Symfoniczna pod batutą znanego dyrygenta Luis Herrera de la Founte wykonała 14 ub. m. w Meksyku utwór Krzysztofa Pendereckiego „De natura sonoris".

Zaprezentowany po raz pierwszy w tym kraju utwór polskiego kompozytora spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności i krytyki.

Czekając... na Becketta

Kiedy agencje prasowe całego świata podały wiadomość o przyznaniu Beckettowi Nagrody Nobla, reporterzy wielkich i mniejszych pism ruszyli do ataku, żeby przeprowadzić wywiad z laureatem. „Przeszukano" Dublin, Londyn, Paryż i... nic! Beckett przepadł jak kamień w wodę.

Jak pisze londyński „Daily Telegraph" — chodzą słuchy, że twórca klasycznego już dziś niemal „Godota" pod przybranym nazwiskiem przebywa w Tunisie, zmęczony popularnością...

W związku z tymi „poszukiwaniami" gazeta przypomina, że o tę samą popularność zabiegał Beckett daremnie... przez 20 lat tworząc wiele wierszy i powieści, które do dziś są mało znane.

ZDARZENIA TYGODNIA

● *W auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej odbyła się 3 XII sesja popularnonaukowa pt. „Pisarze ziemi rzeszowskiej", którą zorganizowała Sekcja Języka Polskiego Okręgowego Ośrodka Metodycznego w Rzeszowie. Referaty wygłosili: mgr Gustaw Ostasz — „O prozie Juliana Kawalca", mgr Józef Nowakowski — „Literatura ludowa i regionalna ziemi rzeszowskiej", dr Eugenia Łochowa i mgr Zbigniew Lisowski — „Twórczość poetycka i prozatorska Jana Bolesława Ożoga", mgr Anna Niewolak-Krzywda — „Twórczość literacka Romana Turka" oraz mgr Stanisław Gębala — „Dwie strony Przybosiowego równania".*

● *W województwie rzeszowskim, podobnie zresztą jak i w całym kraju, żywiołowo powstają młodzieżowe zespoły muzyczne. Dotychczas jednak tylko te, które działają przy powiatowych domach kultury lub zakładowych świetlicach mają zapewnioną właściwą pomoc fachową. Natomiast większość zespołów pracuje w odosobnieniu i bez pomocy instruktażowej. Nikt też nie potrafi powiedzieć ile wspomnianych zespołów jest aktualnie w województwie. Celem więc unormowania wyżej wymienionych spraw, staraniem CRZZ i Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Warszawie, zorganizowano od 1 do 3 XII w Krakowie ogólnopolskie seminarium, na którym omówiono zagadnienia związane z muzycznym ruchem młodzieżowym. Z naszego województwa wzięło udział w seminarium 8 osób.*

● *Poseł na Sejm PRL, prezes Ludowej Spółdzielni Wydawniczej — Mieczysław Grad spotkał się w sali klubowej w Budziwoju z mieszkańcami tej wioski. Mówił on o swojej pracy literackiej i publicystycznej oraz odpowiadał na różne pytania.*

● *Muzeum Ziemi Przemyskiej zorganizowało wystawę plakatu muzealnego i ochrony zabytków. Ekspozycję przygotowano pod protektoratem Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jest ona pierwszym dorocznym przeglądem obejmującym plakaty wydane w 1968 roku. Prace nadesłało 51 plastyków. Całość wystawy podzielona jest na 6 grup tematycznych, propagujących muzea i ich działalność z dziedziny historii, etnografii, kultury i sztuki oraz ochrony zabytków.*

● *Artyści amatorzy z Klubu ZZK w Przemyślu odnieśli kolejny sukces. W zorganizowanym w Chełmie Lubelskim dla uczczenia 25-lecia PRL przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Kolejarzy Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Dramatycznych, przemyski zespół zajął pierwsze miejsce. Wystawił on w reżyserii Janiny Górskiej sztukę Z. Skowrońskiego pt. „Mistrz", którą również zaprezentowano publiczności warszawskiej na nowo utworzonej scenie Amatorów Kolejarzy w Teatrze Ateneum w Warszawie.*

● *Powiatowy Dom Kultury w Jaśle zorganizował konkurs na najlepszego gawędziarza ludowego. Ogółem wpłynęło 15 zgłoszeń. Trwają eliminacje. Program występów wzbogacony jest muzyką w wykonaniu kapel ludowych.*

● *W Zagórzu, po 3-letniej przerwie, przekazano do użytku przebudowane kino „Kolejarz". Koszt prac remontowych wyniósł 1,5 miliona złotych. Sala kinowa liczy 170 miejsc, a aparatura została przystosowana do wyświetlania szerokoekranowych filmów. W budynku znajduje się również biblioteka.*

● *Z wielkim zainteresowaniem spotkał się odczyt mgr Stanisława Mycielskiego z Krakowa, wygłoszony w Klubie MPiK w Rzeszowie w ramach cyklu „Poznajemy świat i ludzi".*

Grudzień w DKF

Grudniowy program Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Klaps" przy Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie zainauguruje w dniu 4. XII węgierski dramat społeczny „Strzał w głowę" (pula specjalna).

6. XII zostanie wyświetlony „Music-Hall" — znakomite dzieło Tony Richardsona, angielskiego „młodego gniewnego", wyreżyserowane w r. 1959 w oparciu o sztukę teatralną Johna Osborne'a. Mariaż tych dwu twórców, oparty na światopoglądowej wspólnocie oraz identycznych postawach politycznych i reakcjach na problemy społeczne, przyniósł przejmujący obraz umierania „na raty" którego nie można powstrzymać mimo najbardziej rozpaczliwych prób i protestów. W świecie, przypominającym wielką machinę, gdzie ludzie oceniani są wyłącznie na zasadzie handlowej przydatności, nie ma miejsca dla życiowych „nieudaczników", nie mieszczących się w ramach „middle class"... Rolę Archiego, kabaretowego konferansjera, żyjącego w świecie urojeń i nierealnych planów, odtwarza Laurence Olivier.

Głośna przed paru laty „afera Palomares", kiedy to amerykański samolot wojskowy przelatując nad wybrzeżem hiszpańskim zgubił dwie bomby atomowe, posłużyła Michaelowi Cacoyannisowi jako inspiracja przedziwnej komedii — nie komedii „Dzień, w którym wypłynęła ryba", którą twórca pragnął zmusić ludzi, aby spojrzeli prawdzie w oczy i uświadomili sobie grożące im każdego dnia niebezpieczeństwo. W wywiadzie dla „Les Lettres Francaises" Cacoyannis powiedział: „...czy rząd zawiadamia nas o samolotach, które z bombami przelatują nad naszymi głowami? Powstaje pytanie: w jakim stopniu jesteśmy uczestnikami otaczających nas wydarzeń? Czy wiemy, czy zdajemy sobie sprawę z tego, co się wokół nas dzieje? Bo przecież jakże często okłamuje się nas po prostu, aby uniknąć paniki, tak samo, jak robią przybyli na wyspę amerykańscy wojskowi (...) Uważam, że należy wychodzić poza krąg spraw ściśle osobistych, spojrzeć na otaczający nas świat. Zbyt wiele zajmujemy się wystawianiem na pokaz własnego wnętrza. Ten film narodził się z myśli o autentycznych wydarzeniach. Miał być czymś w rodzaju sygnału alarmowego. Miał przypomnieć, że przerażające środki zagłady coraz trudniej poddają się kontroli..." Film (muzykę do niego skomponował Mikis Theodorakis, a autorem barwnych zdjęć jest Walter Lassally) zostanie wyświetlony 11 grudnia.

Zwolennicy rozrywki bardziej beztroskiej będą mogli obejrzeć w dniu 13. XII barwną, panoramiczną komedię z serii „rodzinnych" pt. „Weź ją jest moja", wyreżyserowaną w r. 1963 przez Henry Kostera. Dobra muzyka Jerzego Goldsmitha, aktorstwo Jamesa Stewarta i atrakcyjna gwiazdka Sandra Dee zapewniają półtorej godziny przyjemnej, chociaż niezbyt wyrafinowanej zabawy.

Joseph Losey, wybitny amerykański reżyser teatralny i filmowy, który w okresie osławionego „polowania na czarownice" został pozbawiony możliwości pracy w USA, swoje najlepsze dzieła (m. in. „Inspektor Morgan prowadzi śledztwo", „Za króla i ojczyznę", „Modesty Blaise" i słynny „Wypadek") tworzy w Anglii i dzięki nim zyskuje miano jednego z najciekawszych współczesnych reżyserów. Film „Fabryka nieśmiertelnych" (projekcja 18 grudnia) uważa za jedno z najważniejszych swoich dzieł. Pomysł pojawił się w okresie, kiedy Stany Zjednoczone prowadziły politykę na „krawędzi wojny" (termin ukuty przez samego Dullesa: „the brink" — krawędź) i film miał nosić właśnie taki tytuł, ale producent nie wyraził na to zgody. Zresztą i po ukończeniu realizacji film jako „niebezpieczny" czekał aż 18 miesięcy w kolejce na ekrany. „Fabryka nieśmiertelnych" miała być w zamierzeniu Loseya zwykłą parabolą, przypowieścią o człowieku, który jest głęboko przekonany, że pracuje dla ludzi w imię życia. Ale ten właśnie człowiek — uczony prowadzący przerażające eksperymenty w celu „wyhodowania" rasy ludzi odpornych na promieniowanie atomowe, staje się nasicielem śmierci. Temat jest ważny i wciąż aktualny, bowiem niebezpieczeństwo totalnej zagłady nie straciło nic ze swej przerażającej bliskości. Dzieło to jest przyrównywane do picassowskiej „Guerniki".

Grudniowy program zakończy debiut fabularny (r. 1966) cenionego dokumentalisty francuskiego Edourda Luntza pt. „Zielone serca" (pula specjalna) — surowa opowieść o trudnej młodzieży, wegetującej na marginesie wielkomiejskiej społeczności Paryża. Dzieło to zostało uznane za najbardziej reprezentatywny przykład „kina — prawdy". Bohaterowie filmu nie zostali przez Luntza wymyśleni; są to autentyczni młodzi ludzie z paryskiego przedmieścia. Luntz już sześć lat wcześniej zrealizował znaną również u nas krótkometrażówkę „Dzieci z ruder". „Zielone serca" stanowią kontynuacje tej opowieści. Bohaterowie przestali już być dziećmi, ich konflikty ze społeczeństwem stały się nieuniknione. Film Luntza nie jest jednak ani traktatem o przestępczości młodych, ani reportażem o życiu „czarnych bluz" (blousons noirs), odmiany nadsekwańskich chuliganów. Reżyser nie osadza swoich bohaterów, lecz całą uwagę skupia na możliwie najpełniejszej ich prezentacji: ukazuje ich zachowanie, język, reakcje wobec otoczenia, zajęcia i zabawy. Opis ten jest surowy, prawdziwy, pozbawiony fałszywego romantyzmu i sentymentalizmu, tak charakterystycznych chociażby dla klasycznych filmów neorealizmu włoskiego. „Zielone serca" są rekonstrukcją autentycznych wydarzeń, bohaterowie odtwarzają przed obiektywem kamery niektóre fragmenty własnego życia. Projekcja odbędzie się 27 grudnia.

(jot-er)